PRO CHRISTO
WIARA I CZYN
ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 163-44
Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo...

Dyskusja w sprawie „Akcji Katolickiej", która toczy się wśród katolików w Polsce uzyskała ostatnio dokument pierwszorzędnej wagi w postaci listu papieskiego sekretarza stanu Kardynała Gasparri'ego do J. Em. Ks. Kardynała, Prymasa Hlonda. Waga tego listu jest tem większa, iż jest on niewątpliwie oficjalnym wyrazem poglądów Stolicy Apostolskiej, a przeto tezy w nim zawarte są obowiązujące dla katolików.

Na wstępie Ks. Kardynał Gasparri zaznacza: *„Z wielką radością swego serca patrzy Ojciec św. na rozwój akcji katolickiej w djecezjach Polski... Ufa Ojciec sw., że chwalebne tradycje i zasługi dziejowe katolickiej Polski, która niegdyś była przedmurzem kultury rzymskiej i Wiary Chrześcijańskiej przeciw groźnym napadom pogańskiego barbarzyństwa, zepsucia muzułmańskiego i odszczepieństwa schyzmy, nietylko się dalej snuć będą nieprzerwanym pasmem, ale się ustawicznie będą pomnażały w zgodnej pracy nad religijnem i obywatelskim odradzaniem narodu, co Ojciec św. przy niejednej uroczystej sposobności określił, jako „udział świeckich w hierarchicznem apostolstwie Kościoła"*.

„Akcja ta — początkami swemi sięga samych apostołów, którzy do chętnej współpracy nad szerzeniem drogocennych

skarbów nauki chrześcijańskiej powoływali i dojrzałych mężów i niewiasty bogobojne, dzielną młodzież i wszystkie stany społeczne, a nawet niewolników i wyzwoleńców, uważając wszystkich za wyzwolonych i uszlachetnionych w Chrystusie". Na ustęp ten zwracamy specjalną uwagę, wskazuje on bowiem, że akcja katolicka winna być jaknajbardziej wszechstronna i faktycznie wszechstanowa, obejmować nietylko warstwy inteligentne, lecz także robotnika i chłopa. Wynika stąd, że metody jej działalności należy dostosować do poziomów i potrzeb poszczególnych warstw. Podkreślenie tego uważamy za bardzo ważne na gruncie polskim... Czytamy dalej w liście następujące ujęcie: „*...akcja katolicka w swej istocie, ze względu na swój cel jest akcją ściśle religijną. Dotyczy ona katolików bez różnicy płci, kultury i stanowiska społecznego, a chociaż ujmuje ich w organizacje, mające swe odrębne cele bezpośrednie, zastosowane do szczególnych warunków członków, to jednak łączy ich prace dla wspólnych interesów i to we wszystkich dziedzinach, zarówno religijnej, jak i obywatelskiej, w rodzinie i szkole, w życiu prywatnem i publicznem*".

Powtarzamy raz jeszcze: „*a chociaż ujmuje ich w organizacje... to jednak łączy ich prace dla wspólnych interesów i to we wszystkich dziedzinach*". Jest więc akcja katolicka organizacją, ale nie taką, jak szereg innych organizacyj katolickich, lecz organizacją specjalną, której zadaniem jest wytworzenie pewnego rodzaju syntezy życia katolickiego w danym kraju, która będzie działać za pomocą pierwiastków wspólnych wszystkim katolikom bez względu na ich przekonania polityczne, interesy klasowe, zainteresowania życiowe i t. d. Nie jest więc jej zadaniem pochłonięcie, czy osłabienie istniejących już na naszym gruncie organizacyj katolickich, aby stać się jedyną i wyłączną, lecz raczej zajęcie specjalnego stanowiska ponad istniejącymi zrzeszeniami katolickiemi w celu łączenia ich prac „dla wspólnych interesów i to we wszystkich dziedzinach".

Myśl ta znajduje potwierdzenie i uzupełnienie w dalszych słowach listu: „*Z tego względu więc akcja katolicka korzystać będzie przedewszystkiem z pracy innych katolickich dzieł i instytucji, osobliwie tych stowarzyszeń i organizacji, które sposobią się do głębszego życia chrześcijańskiego. Nadewszystko*

zaś obejmuje ona katolickie organizacje młodzieży, która z łatwością i zapałem podejmuje się czynnego apostolstwa, ale wprzód powinna przejąć dobrą szkołę życia wewnętrznego, z którego wszystkie zewnętrzne czyny czerpią swą treść i skuteczność nadprzyrodzoną.

Ta specjalna zachęta do objęcia przez akcję katolicką organizacji młodzieży, która się łączy zresztą z podkreśleniem w innej części listu „dwuch anielskich wzorów młodzieży: św. Kazimierza i św. Stanisława Kostki" jest bardzo charakterystyczna i wskazuje, że Stolica Apostolska zwróciła specjalną uwagę na potrzebę zorganizowania młodzieży polskiej pod sztandarami Chrystusowymi i wychowania jej według zasad katolickich Oczywiście, jak wynika z innych części listu, chodzi tutaj—nietylko o młodzież inteligentną lecz również o młodzież warstw pracujących fizycznie, która jest u nas w Polsce szczególnie zaniedbana i narażona na wpływy pogaństwa.

List Ks. Kard. Gasparri'ego jest dużym krokiem naprzód w kierunku wyjaśnienia stosunku akcji katolickiej do polityki. Przytaczamy cały, ważny ustęp, dotyczący tego zagadnienia.

Wreszcie z akcji katolickiej wynosić będą katolicy najwznioślejsze natchnienie i najskuteczniejszą podnietę do udziału w życiu publicznem w zakresie obowiązkowej współpracy obywateli katolików dla dobra ogólnego i dla pomyślności społeczeństwa.

Wszelako akcja katolicka zgodnie ze swą naturą i powyższemi celami nie tworzy, jako taka, żadnego stronnictwa i nie służy ani prywatnym interesom, ani specjalnym celom politycznym. Trzymać się ona będzie poza i ponad stronnictwami politycznemi i poza ich, choćby słusznemi walkami, pozostawiając w tym względzie jednostkom swobodę osobistych sympatji i postępowania, oczywiście, w ramach nauki katolickiej i pod warunkiem należytego ustosunkowania interesów podrzędnych i prywatnych do ogólnych i najwyższych.

Sprawa jest postawiona zupełnie jasno i dobitnie. Z tych słów widzimy, że ci z katolików, którzy, niestety, w dość poważnej u nas liczbie nie interesuje się zupełnie zagadnieniami publicznymi i chcieliby znaleść w akcji katolickiej antidotum przeciwko podkreślonym u nas w opinji publicznej obowiązkom życia społecznego — nie znajdą w oficjalnym stanowisku Sto-

licy Apostolskiej potwierdzenia swoich wygodnych, małodusznych poglądów. Przeciwnie, list mówi wyraźnie o „obowiązkowej współpracy obywateli katolików dla dobra ogólnego i dla pomyślności społeczeństwa" i jako jedno z zadań akcji katolickiej stawia „najwznioślejsze natchnienie i najskuteczniejszą podnietę do udziału w życiu publicznem w zakresie obowiązkowej współpracy"...

Należy więc odróżnić dwie rzeczy: 1) Obowiązek katolików do brania udziału w pracy obywatelskiej i publicznej, z ktorego akcja katolicka wcale nie zwalnia, lecz przeciwnie wychowywać ma w ten sposób swoich członków, iżby zrozumieli konieczność spełnienia tego obowiązku. Ma to specjalne znaczenie na terenie polskim wobec grożącej nam walki o małżeństwo i szkołę katolicką oraz zachowanie praw Kościoła. 2) Bezpartyjność samej akcji katolickiej, jako organizacji jednoczącej wszystkich katolików bez względu na różnicę poglądów politycznych i kierowany przez hierarchję duchowną, która ze względu na swoją rolę w społeczeństwie musi być bezstroną politycznie i niezależna od poszczególnych fluktuacji i posunięć życia codziennego. Chodzi tutaj o to, aby nie akcja katolicka służyła danej partji, lecz przeciwnie, aby wszystkie stronnictwa o charakterze katolickim były na usługach szeroko pojętej akcji katolickiej.

Rzecz oczywista, list, podaje tylko ogólne nastawienia, pozostawiając Episkopatowi polskiemu, duchowieństwu i współdziałającym z hierarchją katolikom świeckim rozwiązanie szeregu zagadnień życiowych, które będą się stopniowo wyłaniały przy wznoszeniu szyków akcji katolickiej w Polsce.

Akcja katolicka a polityka.

Pod tym tytułem zamieszczamy odpowiedź na naszą ankietę na temat akcji katolickiej pióra p. Hieronima Tarnowskiego. Zaznaczamy, iż Redakcja Pro Christo postanowiła zamieszczać odpowiedzi na ankietę in extenso, traktując je wszystkie, jako materjał do dyskusji i nie biorąc oczywiście odpowiedzialności za poszczególne poglądy autorów.

Pragnę odpowiedzieć na pytanie, czy katolicy w Polsce powinni prowadzić akcję o celach politycznych i jaką — oraz czy powinni dążyć do stworzenia katolickiej partji politycznej. Zacznę od tego drugiego.

Jestem przeciwny tworzeniu partyi politycznej katolickiej, a to z następujących powodów:

Po pierwsze, dla powodu zasadniczego. Integralną cechą charakterystyczną katolicyzmu jest jego uniwersalizm. W stosunkach międzynarodowych Kościół katolicki, jakkolwiek najbliższe mu są oczywiście Państwa katolickie, to przecież nie wiąże sprawy katolicyzmu z interesami *politycznymi* jednego lub kilku Państw, nie identyfikuje jej z nimi, lecz stale i ściśle przestrzega swego stanowiska uniwersalnego, nad-narodowego i swej niezależności od gry politycznej, międzynarodowej. Uważam, że podobnież katolicyzm w Polsce musi zachować swoje stanowisko ponadpartyjne, uniwersalne, niezależne od polityki partyjnej—co więcej, że związanie sprawy katolicyzmu w Polsce z jedną partją polityczną byłoby obniżeniem i zacieśnieniem katolicyzmu, byłoby rzeczą przeciwną samejże koncepcji, samej naturze akcji katolickiej.

Powtóre, dla następujących powodów praktycznych:

a) Partja polityczna katolicka w swojej taktyce na terenie parlamentarnym musiałaby oczywiście wchodzić w chwilowe porozumienia, czy sojusze z innemi partjami odnośnie do różnych bieżących spraw. W tem kryje się niebezpieczeństwo bardzo wielkie. Weźmy przykład: Przypuśćmy, że w jakiejś sprawie do-

tyczącej robotników fabrycznych tworzyłaby ona chwilowo wspólny front z N. P. R. Ponieważ jednak interesa ekonomiczne robotnika fabrycznego są wprost przeciwne interesom drobnego rolnika — przeto katolicka partja polityczna stanęłaby w przeciwności z temi ostatniemi. Wyzwolenie zaś i Stronnictwo Chłopskie przedstawiłyby sprawę w ten sposób, że już nie *Partja katolicka* ale *Kościół katolicki* jest wrogi interesom chłopa i zyskałyby bardzo wdzięczny atut dla swojej propagandy antyreligijnej. Prócz tego, ponieważ żadna partja polityczna nie może być nieomylną, przeto nie ulega kwestji, że partja katolicka w sprawach czysto politycznych, czy ekonomicznych popełniałaby nieraz pomyłki. A bezwzględnym pewnikiem jest, że każda pomyłka partji politycznej, firmującej 'katolicyzm w Polsce,' byłaby wyzyskana przez wrogów kościoła jako broń zaczepna przeciw katolicyzmowi, jako takiemu.

b) Katolicka partja polityczna, jeżeliby miała istotnie i godnie swemu celowi służyć, musiałaby składać się — przynajmniej o ileby chodziło o osoby grające rolę w stronnictwie — z ludzi absolutnie wolnych od jakichkolwiek celów osobistych i od jakiejkolwiek przymieszki partyjnictwa. Czy zaś dużo takich ludzi jest w Polsce, zwłaszcza między politykami? A do kierownictwa partją trzeba polityków zawodowych. Gdyby zaś partja polityczna katolicka dopuszczała do swego grona polityków zawodowych bez względu na ich charakter, to w takim razie groziłoby jej niebezpieczeństwo, że jej cel zostanie spaczony. Ludzie bowiem mający mało skrupułów łatwiej od innych wybijają się na stanowiska kierownicze. A wtedy bardzo łatwo stać by się mogło, że mimo najlepszej wiary i woli większości członków partji katolickiej, „leaderzy" jej reprezentacji parlamentarnej mieliby za istotny cel swoje interesa osobiste, lub uboczne względy polityczne, a sprawy katolicyzmu używaliby jedynie jako płaszczyka.

Z powyższych trzech powodów przeciwny jestem tworzeniu katolickiej partji politycznej.

A przecież my katolicy mamy absolutny obowiązek wpływania na politykę Państwa, starania się, by szła ona po linji światopoglądu katolickiego, bronienia Kościoła przed uchwalaniem przez Izby ustawodawcze ustaw mu wrogich. Dlatego obowiązkiem naszym jest mojem zdaniem prowadzić *akcję o ce-*

lach politycznych, nie mającą jednak charakteru roboty polityczno-partyjnej.' Akcję tą nazwałbym Publiczną Akcją Katolicką — wyobrażam ją zaś sobie w sposób następujący:

a) Co do organizacji.

Publiczna akcja katolicka powinna być armją obronną katolicyzmu. Istotę zaś armji stanowi różnorodność rodzajów broni i zakresu działania każdego z nich w ramach jednej wspólnej organizacji, jednego ogólnego planu działania pod kierownictwem jednego Sztabu Generalnego i jednego Naczelnego Dowództwa.

Czy dotychczasowa akcja katolicka na polu publicznem a więc w pierwszym rzędzie działalność prasowa katolicka posiada te charakterystyczne cechy armji? Niestety nie. Mamy naprzykład sporą ilość katolickich perjodyków, przeznaczonych dla tych samych warstw społecznych i idących po identycznej niemal wytycznej—a jednak każdy z tych miesięczników, dwutygodników i tygodników idzie luzem. Wskutek tego każdy cierpi na brak środków finansowych, szczupła ilość czytelników i wszystkie wynikajace z tego konsekwencje. Przy sprawnej organizacji akcji prasowej publikacje o tymsamym charakterze, rodzaju i zakresie działania zostałyby sfuzjonowane w jedno wydawnictwo. To wydawnictwo miałoby prenumeraty wszystkich sfuzjonowanych wydawnictw, a opłacałoby tylko jedną redakcję i administrację. W skutek tej oszczędności wydawnictwo to mogłoby podnieść swoją jakość, powiększyć nakład i rozmiar, a w rezultacie i wpływ swój bardzo znacznie rozszerzyć i stanąć silnie finansowo. Między publikacjami zaś o różnym charakterze i zakresie działania powinna istnieć ścisła łączność i planowa, skoordynowana współpraca, której dzisiaj trudno się dopatrzeć.

Ta więc dotychczasowa działalność katolicka na polu publicznem nie ma charakteru armji, lecz jest prowadzona, żeby się tak wyrazić, *po partyzancku*. Naprzeciw nas zaś stoi *armja* wrogów Krzyża, doskonale zorganizowana, działająca sprawnie i celowo we wszystkich dziedzinach życia, od areny parlamentarnej poprzez szkołę, prasę, literaturę aż do kiną i mody. To też doszliśmy do tego absurdalnego stanu rzeczy, że w kraju o ogromnej większości katolików, Sejm kasuje rozporządzenie ministerjalne zaprowadzające obowiązek praktyk religijnych

w szkołach, że grożą nam śluby cywilne i rozwody, że wreszcie zaczyna się w Polsce głośno mówić o rozdziale Kościoła od Państwa. Jedno z dwojga: albo naprzeciw armji wrogów Krzyża stanie *armja* Jego obrońców, silnie zorganizowana, jednolicie, celowo działająca i planowo a sprężyście prowadzona — albo dawne „Przedmurze Chrześcijaństwa" nie będzie Państwem katolickiem.

W jaki sposób możnaby nadać publicznej akcji katolickiej charakter i sprawność armji a nie partyzantki?

Kopułą łączącą w sobie wszystkie bez wyjątku kierunki obywatelskiej działalności katolickiej, oraz Sztabem Generalnym i Naczelnem Dowództwem owej „publicznej akcji katolickiej" o celach polityczno-państwowych, powinna być Liga Katolicka— tak jak Fédération Nationale Catholique we Francji—z centralą w stolicy i z filjami djecezjalnemi i parafjalnemi. Do Ligi Katolickiej musiałyby zatem należeć obowiązkowo, jako poszczególne oddziały owej Armji Krzyża, wszystkie bez wyjątku Stowarzyszenia katolickie, czyto czysto dewocyjne, jak Sodalicje i Bractwa, czy takie, jak Stowarzyszenie Pisarzy Katolickich i Towarzystwo „Dobra Prasa" w Płocku, czy charytatywne, jak Św. Wincenty á Paulo, czy robotnicze, jak „Przyjaźnie" „Katoliccy Terminatorzy" Ojca Kuznowicza, Stowarzyszenie Sług im. Św. Zyty, czy „Matki Chrześcijańskie", „Niewiasty Katolickie"—oraz oczywiście wszystkie rodzaje prasy katolickiej.

Każda z tych „jednostek taktycznych" akcji katolickiej pracowałaby oczywiście tak jak dotąd w swoim zakresie działania i z jaknajszerszą w tym zakresie autonomją—ale działalność każdej z nich powinnaby być celową cząstką ogólnego i jednolitego planu „strategicznego", owej publicznej akcji katolickiej i powinna zadanie swoje odnośnie do tego planu spełniać. Ten zaś plan strategiczny publicznej akcji katolickiej wypracowywałaby i nad jego wykonaniem czuwałaby centrala Ligi Katolickiej.

Na to zaś, by działalność tej ostatniej odpowiadała zawsze i we wszystkiem dezyderatom Episkopatu, oraz na to, by Liga Katolicka miała należny autorytet wobec „jednostek taktycznych" publicznej akcji katolickiej — uważałbym za bardzo pożądane (o ile jakieś ważne powody nie sprzeciwiałyby się temu) by w centrali Ligi Katolickiej zasiadał stale, wyposażony w szero-

kie prawa upełnomocniony delegat każdorazowego Prymasa Polski, jako Głowy Kościoła Katolickiego w Polsce. Centrala Ligi Katolickiej mogłaby oczywiście porozumiewać się od wypadku do wypadku z istniejącemi partjami politycznemi, stojącemi na platformie Katolicyzmu.

Jestem przekonany, że w ten sposób możnaby stworzyć organizację Publicznej Pracy Katolickiej bez porównania liczniejszą i mającą o wiele więcej warunków po temu, by była silnie zorganizowaną, sprawną i planowo działającą, niżby nią być mogła katolicka partja polityczna.

b) Jak wyobrażam sobie—jaknajpobieżniej oczywiście, siłą rzeczy — kierunki działania tak zorganizowanej publicznej akcji katolickiej na arenie naszego życia narodowego i państwowego? 1) Piewszą przesłanką i nieodzownym warunkiem powodzenia wszelkiej publicznej akcji katolickiej, jest wpojenie w nasze społeczeństwo przekonania, że, jak obowiązkiem każdego dobrego Polaka jest przekładać interes Państwa ponad partyjny punkt widzenia — tak też obowiązkiem każdego prawdziwego katolika jest: w jego życiu publicznem, o ile chodzi o sprawę i o prawa katolicyzmu, uważać swoją przynależność do Kościoła katolickiego i wynikający z niej obowiązek bronienia religji, za obowiązujące w wyższym stopniu, niż solidarność i dyscyplinę klubową, czy partyjną i obowiązki z nich wynikające.

Gdyby wszyscy katolicy zasiadający w Sejmie i Senacie byli przejęci tem przeświadczeniem, to nie zostałaby uchwalona rezolucja przeciwko okólnikowi Pana Ministra Bartla w sprawie praktyk religijnych w szkołach, to ze spokojem moglibyśmy oczekiwać głosowania nad „reformą prawa małżeńskiego". Jeżeli to przekonanie przejdzie w krew katolickiej większości naszego społeczeństwa, to jakże łatwą będzie obrona religji na terenie parlamentarnym. Wtedy, jeżeli grozić nam będzie jakaś wroga ustawa, to na wezwanie Episkopatu, czy Ligi Katolickiej jako centrali akcji katolickiej, nie jedna katolicka partja polityczna, ale — jak to odpowiada uniwersalnemu charakterowi katolicyzmu — wszyscy prawdziwi katolicy z wszystkich stronnictw politycznych dawać będą odpór zakusom wrogów.

2) Drugi nieodzowny fundament publicznej akcji katolickiej u nas jest następujący: Ogromna większość naszych katolików stoi z braku uświadomienia na stanowisku socjalistycznego

aksjomatu, że religja, to rzecz czysto osobista i prywatna. To też u nas katolicy wierzący i skrupulatnie praktykujący nie wahają się abonować prasę areligijną, jeżeli nie antyreligijną, oddawać głos na członka stronnictw wrogich Kościołowi — i uważają, że czyniąc to w niczem nie uwłaczają obowiązkom katolika. Jeżeli Polska ma być Państwem katolickiem, to katolicy w Polsce muszą zrozumieć, że katolicyzm, to nie jest jedynie stosunek jednostki ludzkiej do Stwórcy, lecz że zawiera on organiczną koncepcję życia tak jednostki, jak rodziny, narodu, Państwa, świata całego, że wszelkie stronnictwa, choćby nawet nie jawnie antyreligijne,—których podstawą jest światopogląd monistyczny i materjalistyczny, są duchowi katolicyzmu przeciwne i że żaden Katolik do stronnictw takich należeć, ani ich w jakikolwiek sposób popierać nie może.

Jeżeli powyższe dwa przeświadczenia przenikną do świadomości i sumienia katolików w Polsce, to możemy być spokojni, że polityka Państwa Polskiego nie będzie mogła pójść po linji wrogiej Kościołowi katolickiemu.

3) Za bardzo skuteczny środek publicznej akcji katolickiej uważam oddziaływanie bezpośrednie tak na społeczeństwo, jak na Izby Ustawodawcze i na Rząd przez silną katolicką opinję publiczną. Na ten sposób kładzie duży nacisk Fédération Nationale Catholique, która według swego Statutu „jest obcą wszelkim partjom politycznym i wszelkiej polityce partyjnej, przyjmuje członków wszelkich stronnictw politycznych, byle nie sprzeciwiały się temu względy natury religijnej, lub moralnej". Fédération Nationale Catholique zaleca swoim członkom pracę publiczną i obywatelską, polegającą na budzeniu sumienia narodowego i katolickiej opinji publicznej, a jako środki po temu wskazuje, „artykuły prasowe, wiece, referaty i odczyty, broszury, ulotki, afisze, petycje i protesty, mające być posyłane członkom Rządu i Izb parlamentarnych, oraz ogłaszane w prasie". A jeden z Biskupów francuskich w liście do Fédération National Catholique wskazuje na to, że wrogowie Chrześcijaństwa, socjaliści i komuniści gdy chodzi o przeprowadzenie ich postulatów, zasypują ministerstwa i posłów petycjami, protestami, deputacjami, urządzają pochody demonstracyjne na ulicach— i zwykle cel swój osiągają. I zapytuje: „dlaczego my Katolicy

nie mielibyśmy w tem ich naśladować, oczywiście w granicach naszej etyki?"

To iest mojem zdaniem najtrafniejsze ujęcie, jaką powinna być działalność publiczna i obywatelska katolików w Polsce: budzenie sumienia narodowego, wytwarzanie katolickiej opinji publicznej i dawanie im możności wypowiedzenia się wobec kraju i Rządu. W czasach demokratycznych żaden Rząd, jakiby nie był, nie może nie liczyć się z opinją ogromnej większości kraju — o ile ta opinja będzie istotnie opinja publiczną, jeżeli da wyraz swemu przekonaniu nie w prywatnych rozmowach u znajomych, ale publicznie jawnie, odważnie ale spokojnie, po męsku.

A tego rodzaju akcji u nas brak zupełny. Ile od czasu jak grozi nam dopuszczalność ślubów cywilnych i rozwodów, ile odbyło się po wszystkich parafjach Polski wieców, wyjaśniających, czem byłyby one dla religji, czem dla dobra Państwa? Ile odbyło się wieców protestacyjnych przeciw ich wprowadzeniu, przeciw zniesieniu okólnika Pana Ministra Bartla w sprawie praktyk religijnych w szkołach? Ile na około 20 miljonów Katolików w Polsce, ile zebrano podpisów na listach protestujących przeciwko tym faktom? Gdyby takich podpisów zebrano choć trzy miljony, da li Bóg, nie groziłyby nam dziś śluby cywilne i rozwody! Nostra culpa, nostra maxima culpa! A czyż odpowiedzią na każdy pochód socjalistyczny na 1-go Maja podczas którego widnieją napisy „Żądamy szkoły laicznej", „Żądamy rozdziału Kościoła od Państwa" — nie powinien być bezpośrednio po nim dziesięćkroć liczniejszy pochód demonstracyjny katolicki z hasłami: „Żądamy dotrzymania Konkordatu", „Żądamy nierozerwalności małżeństwa", „Żądamy religijnego wychowania", „Żądamy walki z pornografją" etc?

Jestem przekonany, że konsekwentne, ciągłe dawanie wyrazu katolickiej opinji i katolickim postulatom nie tylko może, ale musi wywrzeć na wytyczne postępowania Państwa wpływ ogromny, dużo większy, niżby wywierać mogła katolicka partja polityczna. Bo żadna partja polityczna nie będzie miała i nie może mieć tego wpływu na Izby Ustawodawcze i na Rząd, co wspólny i równoczesny głos wszystkich Katolików w Polsce. Taki głos musi mieć i będzie miał posłuch.

Ale na to, by głos ten mógł się w odpowiedni sposób odezwać i wywrzeć należyty skutek, trzeba stworzyć warunki

po temu. Dlatego reasumując, można za najważniejsze zadania publicznej akcji katolickiej, zamiast tworzenia partji politycznej katolickiej uważać zadania następujące:

1) Zorganizować istniejące stowarzyszenia katolickie i prasę katolicką według jednolitego planu publicznej akcji katolickiej pod egidą Ligi Katolickiej, która ma obmyślać i kierować tą akcją publiczną katolicką, skupiając w niej Katolików należących do wszelkich partyj politycznych, o ile nie będą się temu sprzeciwiały odnośne do każdego z nich względy natury religijnej i moralnej.

2) Zasadniczemi kierunkami publicznej działalności Katolików powinny być: budzenie sumienia narodowego i katolickiej opinji publicznej, wpajanie w katolików przeświadczenia, że obowiązek solidarności katolickiej w życiu publicznem i obrony wiary przewyższają wszelkie względy na solidarność i dyscyplinę partyjną; konsekwentne ciągłe wpływanie na społeczeństwo, na Izby Ustawodawcze i na Rząd przez publiczne affirmowanie praw i postulatów Katolicyzmu wszelkiemi dozwolonemi przez naszą etykę i przez prawa państwowe środkami: od żywego słowa i prasy aż do masowego wypowiadania się Katolików przez petycje, protesty i pochody demonstracyjne.

Hieronim Tarnowski.

Ratujmy powołania.

„Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało".

Jedną z potrzeb niezwykle u nas pilnych, a bardzo ważnych dla Kościoła jest sprawa ratowania powołań duchownych, zorganizowania pomocy dla niezamożnych aspirantów do stanu duchownego. Spotykamy ich prawie wszędzie. Wobec podniesienia poziomu naukowego Seminarjów Teologicznych wstąpienie do nich dla większości aspirantów ze wsi, kończących zwykle szkoły powszechne, jest zbyt utrudnione. Seminarja niższe i zakłady zgromadzeń zakonnych nie wszędzie istnieją. Gimnazja państwowe przeważnie są niedostępne z powodu braku wakansów i zbyt częstego przerośnięcia tych chłopców. Zresztą nawet najbardziej umiarkowane opłaty nauk i utrzymania w tych zakładach dla większości z nich są niemożliwe. Wobec czego wielu aspi-

rantów po kilku nieudanych próbach kształcenia się prywatnie rezygnuje wreszcie ze swych pięknych zamiarów z wielką stratą dla Kościoła. Strata ta jest tem boleśniejsza, gdy się zważy, że w wieku dwudziestym po Chrystusie przeszło miljard osób jeszcze nie zna prawdziwego Boga, że w wielu krajach religja straszliwie upada i odczuwa się wielki brak powołań duchownych, że w odrodzonej naszej Ojczyźnie w porównaniu ze stanem przedwojennym liczba księży prawie wcale się nie zwiększyła, choć wzrosły tereny pracy apostolskiej i choć straszliwie się wzmogły agitacje i prądy przeciwreligijne, szerzące wszędzie nienawiść, zepsucie i niewiarę; że nasz udział w akcji misyjnej jest bardzo znikomy, choć coraz większe otwierają się przed nami jej tereny i choć częściowo winniśmy zastąpić w tej pracy również inne narody walczące we własnym kraju z brakiem duchowieństwa i t. d.

Niestety, powołaniom chłopców niezamożnych zbyt mało udzielamy uwagi, jakgdyby potrzeba pracowników na niwie Chrystusowej, o których Chrystus zalecił się modlić, wcale nas nie wzruszała... Co zaś najgorsza, niezamożnych aspirantów do stanu duchownego zbyt często posądzamy o brak czystości intencji, o to, że dążą do kapłaństwa z pobudek czysto ziemskich. Wprawdzie zdarzają się i tacy, wszakże, Bogu dzięki, są to tylko nieliczne wyjątki, znaczna zaś ich większość, choć może niezawsze sobie uświadamia całą świętość stanu kapłańskiego, ma jednak dobrą wolę, przy której intencję można podnieść, oczyścić i uświęcić. Zresztą pomoc naszą dla tych chłopców możemy a nawet powinniśmy uzależnić od tego, czy się zgodzą zostać kapłanami zakonnymi, lub w jaki inny sposób zobowiązać ich do ubóstwa. Wszak ubóstwo nietylko duchowe, lecz rzeczywiste, jest nieodzownym warunkiem owocności pracy kapłańkiej, jak to Chrystus wyraźnie zaznacza podług wszystkich ewangelistów, mówiących o rozesłaniu uczniów i apostołów:

„Nie miejcie złota, ani srebra, ani pieniędzy w trzosach waszych: ani mieszka w drodze, ani dwóch sukien, ani butów, ani laski..." (Mat. 10,9).

„Nie bierzcie nic w drodze, ani laski, ani torby, ani chleba, ani pieniędzy: ani po dwie suknie miejcie... Nie noścież mieszka, ani torby, ani butów..." (Łuk. 9,3—10,4).

„I rozkazał im, aby nic na drogę nie brali: jedno tylko laskę: ani torby, ani chleba, ani pieniędzy w trzosie...”

(Mar. 6,8).

Kapłan ubogi, bezinteresowny to prawdziwy apostoł Chrystusowy. Ubóstwo zaś dla księży z ludu jest łatwiejsze, nie zwiększa innych ciężarów stanu kapłańskiego. Wiem z doświadczenia, że większość niezamożnych aspirantów chętnieby się zgodziła przed przyjęciem święceń kapłańskich obok czystości ślubować również ubóstwo, gdyby Stolica Apostolska przychyliła się do wprowadzenia dla nich tego ślubu.

Z drugiej strony uczucie religijne w sercu każdego człowieka kryje się najgłębiej. Wpływać na nie i odpowiednio urabiać dusze mogą tylko osoby najbardziej zaufane. Dla pozyskania zaś zaufania ludu, tworzącego olbrzymią większość wiernych w każdej parafji wiejskiej potrzebni również są księża z ludu. Zdaje się, że tylko z tego względu Jezus Chrystus powołał pierwszych apostołów z ludzi zupełnie prostych z wyjątkiem jednego z klasy urzędniczej, celnika Mateusza, nie zaś z inteligencji, choć z pewnością nie brakowało w niej również gorliwych naśladowców Chrystusa, inteligentniejszych a więc zdolniejszych krzewicieli Jego nauki, i choć wówczas nie było tak wielkiego podziału społeczeństwa na klasy i takiej nienawiści klasowej jak obecnie. Każde powołanie do wyłącznej służby Bożej jest skarbem olbrzymim, naszym więc obowiązkiem jest niem się zaopiekować, by nie zmarniało, skierować je tam, gdzie przyniesie największy pożytek dla sprawy Bożej.

W wielu innych krajach dla ratowania powołań duchownych już dawno powstały specjalne Dzieła. Zwłaszcza pięknie rozwija się założone w 1871 r. „L'Oeuvre de Notre-Dame des Vocations”, które już wydało 2500 kapłanów, 3 biskupów i 1 arcybiskupa. Dzieło to składa się z Alumnatów i Stowarzyszenia.

Alumnaty mają na celu wychowanie i kształcenie aspirantów do stanu duchownego, pochodzących z rodzin niezamożnych. Zupełną wolność otrzymują potem ci uczniowie w dowolnym obiorze dla siebie stanu misjonarza, zakonnika lub kapłana świeckiego.

Regulamin Alumnatów odpowiada duchowi dawnych szkół biskupich i klasztornych, decyzjom Soboru Trydenckiego i Benedykta XIV, oraz przepisom Encykliki Piusa IX z dn. 6.XII.

1849 r. Główne z tych przepisów są następujące: ścisłe przestrzeganie warunków przyjęcia, przyjmowanie narazie tylko na próbę, przyjmowanie ostateczne tylko po surowej próbie, niewielka liczba uczniów dla utrzymania ducha rodzinnego, opieka ścisła i ojcowska, życie rodzinne ubogie i twarde, pewna praca ręczna, niespędzanie w domu wakacyj.

Wychowanie religijne uczniów polega na codziennych wykładach, stosownie do wieku chłopców, Pisma św. żywotów świętych, ważniejszych wydarzeń z dziejów Kościoła, udziale w nabożeństwach i t. p. Wierność Papieżowi, przywiązanie do Kościoła, gorliwość o Królestwo Chrystusowe i zbawienie dusz, żywa pobożność, moralność bez skazy, szczerość i prostota, grzeczność w obcowaniu i wielkie nabożeństwo do Najśw. Panny Marji Królowej Kościoła: oto w ogólnych zarysach duch wychowania chłopców. Przełożony używa swej władzy dla wczesnego wyrobienia stałych nawyknień do posłuszeństwa.

Niezależne od programów uniwersyteckich Alumnaty dzielą się na Gramatyczne (kurs trzyletni) i Humanistyczne (kurs dwuletni). Jedne i drugie Alumnaty są różnemi zakładami. Żadnego ucznia nie przeprowadza się z jednego Alumnatu do drugiego bez poważnego egzaminu, stwierdzającego, że uczeń osiągnął poziom klasy szóstej gimnazjów świeckich. Po ukończeniu humanistyki uczniowie podług własnego wyboru wstępują do Seminarjum Wyższego, do Misyj lub do Zakonu.

Warunki przyjęcia: Jedne dotyczą chłopców, drugie rodziców lub opiekunów.

Dla chłopców: Prawne urodzenie; wiek od jedenastu do czternastu lat; organizm zdrowy i wytrzymały; charakter stały i łagodny; pobożność, życie przykładne; szczera chęć zostania kapłanem; wykształcenie w zakresie wyższej szkoły powszechnej stwierdzone wstępnym egzaminem; wybitniejsza zdolność; gotowość poddania się wszystkim regułom Alumnatów i wstąpienie do tego Alumnatu, który wskażą mu przełożeni.

Dla rodziców lub opiekunów: Dobra opinja społeczna; brak środków dla kształcenia syna w Seminarjum Niższem; przyrzeczenie niesprzeciwiania się obiorowi przez syna stanu duchownego świeckiego, zakonnego lub misyjnego; wyrażenie zgody na regulamin Alumnatów zwłaszcza na zakaz spędzania w domu wakacyj; zezwolenie przełożonym wybierania dla chłopca Alum-

natu; zasilanie Alumnatów możliwemi datkami w gotówce i naturze od siebie i od dobroczyńców, których im się uda pozyskać

Wymagane papiery do podania o przyjęcie: 1) Metryka urodzenia, 2) Świadectwo ks. proboszcza, przełożonych i nauczycieli chłopca o jego sprawowaniu, charakterze, zdolnościach ogólnych i szczególnych, zwłaszcza o dostrzeżonych oznakach jego powołania do stanu duchownego, 3) Własnoręczne pismo chłopca wyrażające to pragnienie i zawierające przyrzeczenie poddania się regułom Alumnatów, 4) Świadectwo lekarskie o dobrym stanie zdrowia, 5) Zobowiązanie pisemne rodziców, lub opiekunów poddania się regułom Alumnatów, jak również opłacania corocznie ks. dyrektorowi Dzieła pewnej określonej sumy pieniędzy stosownie do swej zamożności. Dzieło ma prawo żądać od rodziców lub opiekunów chłopca, w razie niedotrzymania przez nich swych zobowiązań, zwrotu kosztów utrzymania chłopca od dnia jego wstąpienia do chwili wystąpienia.

Stowarzyszenie tejże nazwy ma na celu popieranie powołań duchownych przez okazywanie Alumnatom pomocy modlitwą i ofiarami połączonemi z umartwieniem, Alumnaty bowiem czerpią środki utrzymania głównie z ofiarności wiernych i tylko w bardzo małym stopniu z tego, co biedni rodzice mogą dostarczać swym uczniom.

Dla uczestnictwa w Stowarzyszeniu, zgodnie z reskryptem Piusa IX z dn. 10.6.1875 r., wystarcza wpisać się na listę Założycieli, Protektorów lub Dobroczyńców.

1. Założyciele dzielą się na: a) dożywotnich, opłacających Alumnatom dożywotnią składkę roczną 500 franków i b) zwyczajnych, którzy sami lub wspólnie z innymi wykształcą na kapłana jednego przybranego chłopca, za którego płacą rocznie 500 franków.

Protektorzy opłacają corocznie prywatnie lub zbiorowo 50 franków.

Dobroczyńcy są dwojakiego rodzaju: a) Zelatorzy i Zelatorki, którzy, stojąc na czele dwunastu członków (na pamiątkę dwunastu apostołów), wpłacają corocznie 12 franków, oraz b) Członkowie zwyczajni, których składka może się wahać od 10 do 1 franka rocznie.

Stowarzyszenie to zostało wzbogacone następującemi odpu-

stami, których mogą dostąpić wszyscy stowarzyszeni i które całkowicie mogą być ofiarowane za dusze w czyścu:

Indultem z dn. 10/6.1875 r.: a) Odpust zupełny w dniu przyjęcia, b) Odpust zupełny w godzinę śmierci, c) Odpust zupełny w święta Bożego Narodzenia, Zesłania Ducha św. i Niepokalanego Poczęcia N. M. P., d) Odpust zupełny raz na miesiąc w dniu dowolnie obranym z warunkiem odmawiania codziennie na intencję Alumnatów jednego Zdrowaś Marja i regularnego opłacania choćby najniższcj składki 1 franka rocznie.

Brewem z dn. 6/8.1896 r.: Odpust zupełny w święta Wniebowzięcia N. M. P. każdego z dwunasttu apostołów, św. Augustyna i św. Moniki.

Ponadto członkowie Stowarzyszenia uczestniczą w zasługach wszystkich dobrych uczynków kapłanów wykształconych przez Alumnaty: we mszach św., kazaniach, egzekwjach i t. d. Msza św. co tydzień, komunja św. i modlitwy codziennie są ofiarowywane przez wychowawców i uczniów Alumnatów za wszystkich dobroczyńców żywych i umarłych.

Dziełem kierują ks. Assompcjoniści. Jego dyrektorem jest obecnie l'abbé Maximin Vion, 9, rue Montessuy, Paris—VIIe.

Dzieło to jest dla nas przykładem, jak mamy ratować powołania, jak możemy powiększyć liczbę apostołów; jest zarazem pobudką do starań o to i rękojmią ich powodzenia. Polecamy więc gorąco sprawę ratowania powołań, aby trafiła do umysłów i serc wszystkich chrześcijan-katolików, wszystkich stowarzyszeń religijnych zwłaszcza Dzieł Rozkrzewienia Wiary. Prośmy nasze Władze Diecezjalne, by raczyły zorganizować w każdej diecezji Dzieło pomocy biednym aspirantom. Prośmy Zgromadzenia Zakonne, zwłaszcza misyjne, by łaskawie podjęły się organizacji i kierownictwa samych Alumnatów, nim zaś to nastąpi, by organizowały podobną pomoc przy zakładach już istniejących, by żaden aspirant ze względu na brak środków nie został pominięty. Zaopiekujmy się tymi aspirantami. Budźmy, rozwijajmy, i uświęcajmy ich powołania; dodawajmy im otuchy i hartu do pokonania wszystkich trudności materjalnych; starajmy się zwłaszcza sami lub wspólnie z innymi, o usunięcie tych trudności. Przybierajmy sobie tych chłopców za synów, stawmy im największe wymagania, lecz pomagajmy im, ratujmy ich powołania! „Żniwo wprawdzie wielkie..." Zaiste wielkie. Bo

spójrzmy choćby na wschodniego naszego sąsiada, bratni naród rosyjski, gdzie za widocznem zrządzeniem Opatrzności rozproszeni przed wojną Polacy w każdem większem mieście pobudowali kościoły, które wprawdzie obecnie przeważnie są zamknięte, wszakże w zmienionych warunkach stać się mogą ogniskami pojednania z Kościołem całej olbrzymiej Rosji. Bo pamiętajmy, że mała Holandja liczy misjonarzy przeszło 4000, my zaś zaledwo koło 300!... „Ale robotników mało..." Tak, mało ich u nas, mało we Francji, Stanach Zjednoczonych i tylu innych krajach... „Proścież tedy Pana żniwa, by wysłał robotników na żniwo swoje". Prośmy, módlmy się o nich, lecz przedewszystkiem dopomóżmy już powołanym przez Boga na to żniwo, bo inaczej te słowa Zbawiciela staną się dla nas wyrzutem, żeśmy powołania apostolskie widzieli lecz pozwolili, im się zmarnować, czego Boże nie dopuść.

Organizacja pomocy niezamożnym aspirantom winna być szybka, zdecydowana. To też gorąco prosimy wszystkie pisma katolickie o poparcie tej sprawy, wszystkich zaś ludzi dobrej woli o energiczne zajęcie się nią, o tworzenie w każdej diecezji i w każdem większem mieście ognisk tej akcji.

Próbę zorganizowania „Dzieła Matki Boskiej Powołań", na wzór francuskiego, w ostatnim czasie czyniono w Wilnie przy ul. Zarzecznej 28 m. 3. Podań od biednych aspirantów mamy dużo i wciąż przybywają świeże. Lecz starania nasze nie mają widoków powodzenia, bo jako ludzie świeccy nie moglibyśmy stanąć na czele tego Dzieła i praktycznie, owocnie niem kierować. Przedkładamy przeto projekt nasz łaskawej uwadze Wielebnego Duchowieństwa, gorąco prosząc o ujęcie w swe ręce całej inicjatywy Dzieła, my zaś, ludzie świeccy, zrzeszeni w kołach Stowarzyszenia, dołożymy wszelkich starań, by to Dzieło mogło pomyślnie się rozwijać ku większej chwale Bożej i prawdziwemu szczęściu ludzkości. Posiadanym materjałem chętnie służymy, zwłaszcza zaś polecamy łaskawej opiece naszych biednych, zgadzających się na wszelkie warunki aspirantów, którym sami, niestety, nie możemy skutecznie dopomóc.

A. Zgierski.

Pod białe znamię.

U promiennych tęcz podwoi
Biały zastęp duchów stoi
Pośród srebrnych palm
I, podnosząc znamię białe,
Na Chrystusa wieczną chwałę
Cudny śpiewa psalm:

„Dalej, bracia, ramię w ramię
Do tych wyżyn, pod to znamię
Z promienistych stron!
My, w Chrystusie odrodzeni,
Bądźmyż duchem zjednoczeni,
Jako z Ojcem On!

Dość boleści, krwi powodzi!
Nowe światło dziejom wschodzi,
Wszechpotężny cud:
Jeden Chrystus, jedna wiara,
Jedna miłość i ofiara,
Jeden święty trud.

Ziścić czas po latach znoju
Chrystusową myśl pokoju,
Krzyż do serc swych wnieść,
Wiekowieczne spory skończyć,
Wszechnarody w jedno złączyć,
Oddać prawdzie cześć!

Chryste, tyś jest siła, władza,
Moc, co ducha w nas odradza,
Połącz w jedno nas,
By Hosanna biły dzwony
Na Twój Kościół zjednoczony
W zbożny szczęścia czas!

Dalej, bracia, ramię w ramię
Do tych wyżyn pod to znamię
Na podniebny próg!
Moce piekła nie rozdzielą,
Gdy anielskich znamion bielą
Lud Swój złączy Bóg".

Ada Koneczna.
(„Kwiaty i promienie").
Z rękopisu ogłosił J. M. Ch.

BOHATEROWIE WIARY.

Ś-ty Władysław, Król.

Jest on nam dość bliski krwią, gdyż był synem polskiej królewny, która wyszła zamąż za węgierskiego króla Belę I-go. Po ojcu ciężar królowania objął Władysław, a było to w drugiej połowie wieku XI-go, w pełni średniowiecza.

W dzisiejszych pojęciach trudno sobie pogodzić króla z całą obowiązującą dworską etykietą, a tem bardziej z polityczną dyplomacją, z wyobrażeniem świętego człowieka. Choć pojęcie świętości nie kłóci się nigdy z żadnem powołaniem i stanem, bo jej istotą jest nadprzyrodzoność zwykłych, normalnych ludzkich obowiązków.

Na szczęście dawni królowie w innych zupełnie żyli zewnętrznych warunkach swego stanu i z tej strony nie mieli żadnej trudności do własnego uświęcenia. Byli jednak zwykłymi ludźmi z tą samą naturą, którą każdy z nas dzisiaj posiada i tutaj było najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla osobistej doskonałości. O, bo królowanie, wszelka władza i panowanie nad innymi, choć bardzo są miłe ludzkiemu sercu — bo przecież człowiek stworzony został na króla świata, a wrodzona konieczność wolności osobistej pcha go bezwicdnie ku najwyższym szczytom wszelkiej niezależności, to znaczy do panowania nad innymi — lecz kryje się w tem, jak w zdradliwej przynęcie ostry haczyk nadużycia władzy, na który słabsze charaktery chwytają się odrazu.

Królem być nie jest rzeczą trudną, biorąc to w najogólniejszem znaczeniu wszelkiego panowania, nietylko „fachowej", koronowanej godności królewskiej — bo nawet przedostatni obywatel każdego kraiku panuje nad tym ostatnim, który sam jeden tylko nie ma władzy, wobec miljonów reszty,—a zresztą każdy człowiek panuje nad swoim światem żywym, czy martwym, każdy nad swoją miotłą, czy kosturem.

Ale dobry król jest rzadkością muzealną.

Być wielkim w swoich rządach publicznych, w kierowaniu swem choćby minjaturowem królestwem, też nie jest bardzo trudnem — wszak najwięcej wśród ludzi — jak nam do-

wiódł swojego czasu mędrzec — Stańczyk — jest lekarzy, a dodajmy dzisiaj, jeszcze więcej jest polityków i „umiejących na tem stanowisku” odpowiednio postępować. Lecz być wielkim w swem życiu osobistem, prywatnem, codziennem, nietylko w czasie manifestacji niedzielnej, czy pałacowej — to dopiero prawdziwe królowanie i rzecz niesłychanie rzadka i dlatego wielka wyjątkowo. To nazwać można bohaterstwem, w naszych warunkach życia, choć — przyznajmy — powinno być najniższą normą naszego postępowania.

Władysław, jako król, prowadził szczęśliwe wojny, zawsze obronne, z najeźdźczemi plemionami Kumanów i Tatarów, przyłączył dobrowolnie Dalmację i Kroację do korony węgierskiej, budował klasztory i świątynie, erygował i uposażał biskupstwa w swem młodem chrześcijańskiem państwie, nie żałował grosza na cele publiczne dla wspólnego dobra.

To wszystko czynili i inni królowie, może nawet więcej, gdy mieli bardziej sprzyjające warunki zewnętrzne.

Nie w tem też leży jego osobista zasługa, choć w historji swego narodu ma zaszczytnie zapisaną kartę.

Wielkość jego prawdziwa była w osobistem współżyciu z poddanymi w swych prywatnych sprawach.

Król — szczególnie według ówczesnych średniowiecznych pojęć — musiał być nadczłowiekiem i być zawsze otoczonym wielkością i splendorem swego majestatu. Nieograniczona żadnym parlamentem władza królewska, suwerenna, niezależna od nikogo i wykonywana bez żadnych pactów conwentów, czyniła ze średniowiecznego króla minjaturowego bożka na ziemi, według powiedzenia Psalmisty: „Oto rzekłem — bogami jesteście”.

Jakże łatwo w takich warunkach o nadużycie tego wyjątkowego stanowiska przez niedociągnięcia swego charakteru, jak łatwo o krzywdzenie bliźnich swem postępowaniem i stosunkiem osobistym, wobec wszelkiej bezbronności tłumu poddanych.

Jak zaś z drugiej strony łatwo o czynienie dobrze dokoła siebie, uszczęśliwianie wszystkich, na których padł wzrok królewski, promieniowanie na wsze strony czarem dobroci i słoneczną, życiodajną pogodą!

Wszystko tutaj zależnem było od wartości osobistej każ-

dego króla, jak zresztą i dzisiaj we wszelkiem panowaniu, choćby domowem tylko. Tutaj się poznaje dopiero człowieka i jego własne oblicze.

Tutaj Władysław był świętym. Nikt nigdy nie odczuł, że jest jego władcą, a oni niewolnikami, nikt nie zadrżał przed jego majestatem, ani nie czuł się skrępowanym w jego obecności.

To człowieczeństwo Władysława, jego humanitaryzm, jakbyśmy nazwali dzisiaj, sprawiło, że był naprawdę królem, bo posiadał rząd dusz, oddanych mu ofiarnie i dobrowolnie z całym entuzjazmem kochających dzieci.

Łaska monarsza zawsze jest łaską i choć poddany czuje się zaszczyconym, to jednak upokarza go ona w jego ludzkiej godności. Podać tę łaskę tak, by nikt tego upokorzenia nie wyczuł, a uważał się za szczęśliwego w pełni, jak w rodzinie, zjednoczonej prawdziwą miłością i wzajemnym szacunkiem — to tajemnica świętości królewskiej.

Pogodzić majestat z prostotą, hojność monarszą z ojcowską szczodrobliwością i—co najtrudniejsze—moc rządów prawnych z najwyższą dobrocią, by z jednej strony nie być autokratą brutalnym i zimnym legistą, a z drugiej nie okazać się nigdy słabym i bezwolnym — i to potrafi tylko mistrz i człowiek opanowany całkowicie i żyjący w swerze najwyższych idei i wolny od więzów codziennych błachostek i ciasnoty egoistycznej, lub stanowej w ujmowaniu każdej sprawy.

A wszystko to, gdy jest owiane i przeniknięte duchem nadprzyrodzonym, który dopiero daje tę idealną równość i głębię charakteru, niezamącony pokój w najtrudniejszych okolicznościach życia własnego i państwowego i jest źródłem niezawodnem ducha najwyższego poświęcenia, bohaterskiej ofiarności, radosnej, nieprzymuszonej, promieniującej i uśmiechniętej zawsze — wtedy królewskość człowieka jest pełna. Być królem w swojem domowem państewku — powtórzmy — jest łatwo, ale być dobrym królem!... Ilu ich jest pośród nas?

Ks. A. Bogdański.

O. Sebastjan Wolicki.

Kiedy pierwszy biograf ks. Karola Antoniewicza, Jezuity, ks. Ignacy Polkowski, rozpoczynał pierwszy obszerniejszy życiorys jego, na samym początku pisał: „Tęskno byłoby i pusto na świecie, gdyby z życiem człowieka kończyła się i pamięć o nim; gdyby z śmiercią mężów, pochwały godnych, grzebano najdroższe o nich wspomnienia i najświetniejsze czyny, któremi uświęcili krótką życia pielgrzymkę. Tęskno byłoby, powtarzam—gdyby z życia ludzi czynu i woli nie można wyprowadzić korzystnej dla siebie nauki, przyswajając ich piękne cnoty, ich poświęcenie się dla dobra braci. Dzięki Bogu, nie tak się dzieje. Ludzie wielcy zasługą a bogaci cnotą, nie umierają nigdy, a przynajmniej dotąd, dopóki po nich stanie pamiątek, pięknych, jak życie ich, i świetnych, jak cnoty, któremi jaśnieli"[1]). Po przeczytaniu tych słów dobrego katolika doby bieżącej opanowują smutne bardzo refleksje. Może tak oto działo się naprawdę przed laty bezmała siedemdziesięciu, właśnie w czasach ks. Polkowskiego, ale dziś—trzeba to stwierdzić—tak się nie dzieje, niestety. Pozostały po naszych świętobliwych rodakach przerozmaitsze pamiątki, pozostały ich groby chwalebne, nie pozostała tylko pamięć o nich. Inteligent współczesny potrafi całemi godzinami rozwodzić się nad intymnemi nawet szczegółami życia przerozmaitszych „gwiazd" filmowych, wygada, wyrecytuje, jak pacierz, a może i lepiej, wiek Clara'y Bow czy Emila Jannings'a oraz kopy i mendla innych aktorów ekranu,—można to coprawda wyczytać w prasie—lecz, gdy go się zapyta, kto to taki był np. o. Stanisław od Jezusa i Marji Papczyński, bądź o. Rafał Chyliński, on, katolik „prawdziwy", gdyż co niedziela jest w kościele na „leniuszku", zrobi „przyjemny wyraz twarzy, skrzywi się niemiłosiernie oraz uda, że nie słyszy, ponieważ odpowiedzi prawidłowej nie wydobyłoby się zeń w żadnym wypadku.

Jeśli chodzi o konkretny przykład zapomnienia o człowieku, po którym pozostały pamiątki, to wymienić tu można postać o. Sebastjana Wolickiego, Reformaty, a to z tego względu

[1]) Ks. Ignacy Polkowski: Wspomnienie o życiu i pismach ks. Karola Antoniewicza. Warszawa, 1861. Str. 1.

iż prasa krakowska o zabarwieniu sensacyjnem, przypominając ją jakoteż wydobywając z mroków zapomnienia, powypisywała banialuki, świadczące o jej powierzchowności, które wymagają koniecznie sprostowania.

O. Wolicki urodził się w 1644 r. w ziemi wieluńskiej niedaleko Sieradza, jako syn rodziców stanu szlacheckiego. Na chrzcie św. otrzymał imię Jakóba. Z lat dziecińststwa oraz młodości wiadomości o nim przechowały się nad wyraz skąpe, tak, że ostatecznie wiadomo o nim, iż po ukończeniu szkól krajowych przebywał czas jakiś we Wrocławiu i że z kolei, idąc śladem swych przodków-szlachty, spłacał Ojczyźnie daninę krwi w czasie wojen za panowania króla Jana Kazimierza.

Jako młodzieniec dwudziestosiedmioletni, w 1671 r. wstąpił do zakonu o.o. Reformatów, by tam po zaznaniu udręk w czas wojennego zamętu, jak tylu innych, szukać spokoju oraz zjednoczenia z Bogiem. Jego współbrat zakonny, o. Florjan Jaroszewicz, w żywocie jego, przeznaczonym do czytania na dzień 18 maja, powiada, iż „od początku zakonnego życia gorącym duchem jął się obserwacji zakonnej i ostrości życia, że mało sobie miał w tem równych i do samej starości nic sobie nie folgował, tak, że to młodszym nietylko do zbudowania było, ale i do podziwienia" [1]).

W życiu o. Sebastjana nie można zaobserwować rzeczy nadzwyczajnych, jak np. w żywocie takiej oto Gemmy Galgani, Bóg Wszechmogący nie obdarzył go misją specjalną oraz nie wyposażył w moc czynienia rzeczy niezwykłych, ale pomimo to świętobliwy ten Reformata jest postacią niepowszednią, a wielkość jego polega na sumiennem, skrupulatnem wypełnieniu szarego obowiązku codziennego. Tę właśnie akuratność i to panowanie nad sobą w rzeczach małych przełożeni potrafili ocenić, w następstwie czego już w czternastym roku pobytu w zakonie, a w ósmym dopiero kapłaństwa, z woli prowincjała mianowany został magistrem nowicjuszów, zatem w jego ręce złożona została przyszłość całej polskiej prowincji reformackiej.

---

[1]) Ks. Florjan Jaroszewicz: Matka świętych, Polska... Część II. Poznań, 1893. Str. 183.

Oprócz kierowania nowicjatem był O. Sebastjan wynoszony na inne również stanowiska zakonne, mianowicie w ciągu lat dwudziestu dwuch wybierany był na gwardjana różnych klasztorów O.O. Reformatorów w Polsce, przyczem parokrotnie przewodniczył współbraciom w Krakowie. Jako przełożony starał się na podwładnych wpływ wywierać łagodnością oraz dawaniem dobrego wzoru. Gdy niekiedy musiał udzielać nagany, nie czynił tego publicznie, nie ranił ambicji winowajcy przez zaznajamianie ogółu z jego błędami, boć takie strofowanie z pokorą znieść mogą tylko nieliczne jednostki; gdzie zaś takiego upokorzenia bohaterskiego braknie, tam napominanie publiczne wywołać może skutek wręcz odwrotny.

Co do bliższych szczegółów o jego życiu, to godzi się zaznaczyć, iż, wedle słów o. Jaroszewicza, „ciało swoje wielkiemi umartwieniami trapił, oprócz zwyczajnych w zakonie postów siedm kwadragezym w rok na wzór św. patrjarchy Franciszka pościł; na lat kilkadziesiąt przed śmiercią mięsa i ryb nie jadał, leguminami [3]) tylko się żywiąc, habitem połatanym, wytartym i podlejszym od innych ciało pokrywał w lecie i w zimie nawet w najcięższe mrozy sukienki zimowej na się nie wdział" [4]),—jakżesz to musi razić dzisiejszego wygodnisia! — a jednak dożył wieku bardzo poważnego, choć wiele bólów sprawiała mu rana postrzałowa boku, pozostałość udziału w wojnie. Na boleści o. Sebastjan był ogromnie wytrzymały, panował nad nerwami zawsze. Nawet w starości podczas wypalania ran bądź wyrywania zębów zachowywał taki spokój, że raz medyk jakiś zawołał o nim: „Nie z ciała, ale z żelaza musi być złożony".

Po złotych godach ślubów zakonnych zwolniony został od obowiązków przełożeńskich, odtąd natomiast poświęcił się cichej kontemplacji oraz znoszeniu z poddaniem się woli Bożej cierpień. Jeden jeszcze rys podkreślić trzeba w życiu czcigodnego kapłana tego: zadowolenie ze swego losu, które jest prawdziwem szczęściem ziemskiem człowieka. „Myślę często, — mawiał—czegoby mi się nie dostało albo coby mi przykro było, ale dotąd nic wymyślić nie mogę".

---

[3]) Warzywami i jarzynami.

[4]) Ks. Jaroszewicz. Str. 184.

Niedawno temu Aleksander Błażejowski, autor romansów kryminalnych, zabrawszy głos o o. Sebastjanie, zrobił z niego kwestarza. Na jakich podstawach to uczynił, trudno osądzić zdaje się wszakże, iż jest to jedno echo ustnej tradycji krakowskiej. „Sebastjak Wolicki, jako skromny braciszek zakonny (z jakiej racji?), zajmował się kwestarstwem. Jeździł rzemiennym dyszlem po okolicznych wsiach i dworach i przywozil wozy, naładowane żywnością dla głodnych w Krakowie. Był cichy i skromny, znosił z iście klasztorną pokorą wszelkie złe humory możnych i zawsze potrafił wydobyć coś dla swoich biedaków. Nazywali go Aniołem Nędzarzy. Niestety, zdrowie Sebastjanowi Wolickiemu nie dopisało. Jednego dnia, gdy kwestował w czasie śniegu, i wichru, zaziębił się, wrócił do klasztoru i tam zgasł tak cicho, jako cichem było jego życie“ [5]).

Piękna to zaiste charakterystyka o. Sebastjana, napozór zgodna z jego życiem, ale ja osobiście mam wrażenie, iż jest w niej za wiele fantazji, którą w imię prawdy trzeba sprostować koniecznie. W chwili zgonu świętobliwy Reformata liczył lat osiemdziesiąt dziewięć, już sam wiek przeczy temu jakoby chodził po kweście, a najbardziej wymownym jest fakt, że o kwestarstwie o. Sebastjana nie wspomina ani słówka o. Jaroszewicz, tak skrzętny zapisywacz, tradycyj swego zakonu, u którego znaleźć można coś wręcz odwrotnego. O starości czcigodnego kapłana hagjograf ów wyraża się: „W celi sobie siedział, z samym Bogiem chętnie się bawiąc“ [6]), a przedtem zaznaczył wyraźnie: „Choć był przełożonym, nigdy się nie starał pieczołowicie o potrzeby braci swoich, Bóg zaś je opatrował obficie, a gdy mu powiedziano, że niemasz wcale nic do pożywienie, szedł do chóru i umawiał się z ufnością z Panem Bogiem: „Ojcze nasz, oto tu synowie Twoi chwalą Cię we dnie i w nocy, opatrz ich, bo ja nie mam“, a gdy on się umawiał, dzwoniono u furty i przynoszono co było potrzeba“ [7]). Wniosek z tego wszystkiego wypływa jasny dla każdego.

---

[5]) Aleksander Błażejowski: Kwestarz-widmo. (Kurjer Literacko-Naukowy. № 13. Dnia 31 marca 1929 r. Str. X).

[6]) Ks. Jaroszewicz. Str. 185.

[7]) Ks. Jaroszewicz. Str. 184.

Śmierć o. Sebastjana nastąpiła w 1733 r., w śmiertelnej natomiast chorobie „nawiedzali go różni prałaci i panowie, którym był znajomy, a dla świętego życia bardzo od nich szanowany, prosząc go o błogosławieństwo, które im z miłością dawał, co także i braciom swoim wyświadczył“ [8]. Ciało jego pochowano wedle reguły zakonnej bez trumny, pod głowę jedynie podkładając mu kamień, a „na pogrzeb jego zebrał się wielki tłum ludzi, a małe dziatki znosiły wiele kwiatków i obsypali ciało męża Bożego na marach leżące” [9].

Opierając się na podaniach krakowskich, Błażejowski opowiada dalej fakt, który w konsekwencji pociągnąć miał za sobą przekonanie o świętości o. Sebastjana. „Po śmierci Wolickiego — opowiada on — zapanowała nagle w Krakowie klęska głodu. Ulica Rogacka (dzisiejsza Reformacka) wypełniona była nędzarzami, którzy błagalnie wyciągali ręce do bram klasztornych o kęs chleba. Niestety śpichlerze zakonne były puste. Gdy dzień rozpraszał ciemności, często znajdowano przed bramą klasztorną tych, którym śmierć przerwała mękę głodu. W tym straszliwym czasie nadjechały nagle przed klasztor wozy, naładowane żywnością. Przysłał je magnat Wielopolski. Zdziwienie i wdzięczność klasztoru były ogromne, zwłaszcza, że Reformaci nie wysyłali zupełnie kwestarza do dworu możnego pana. W dwa dni po tym szczęśliwym wypadku Wielopolski odwiedził klasztor o. o. Reformatorów, gdzie spoczywali w podziemiach jego antenaci. Ojciec gwardjan radośnie powitał możnego pana i dziękował serdecznie za przysłane prowianty.

— A był u mnie wasz braciszek i ze łzami w oczach przedstawił mi głód Krakowa — oświadczył Wielopolski. — Nie mogłem oprzeć się jego prośbie. Przemawiał do mnie, jak sam apostoł...

Zdumienie ojca gwardjana było jeszcze większe. Z klauzury klasztoru nikt nie oddalał się, aby odwiedzić Wielopolskiego. Dlatego też, chcąc przekonać się, który braciszek był na kweście, ojciec gwardjan prosił przy wieczornej modlitwie Wielopolskiego, aby wskazał mu kwestarza. Ojcowie i bracia

---

[8]) Ks. Jaroszewicz. Str. 186.

[9]) Ks. Jaroszewicz. Str. 186.

zebrali się w rząd. Wielopolski dokładnie przyjrzał się wszystkim, lecz nie znalazł tego brata, który tak wzruszył jego serce. Dopiero wieczorem, gdy Wielopolski wraz z ojcem gwardjanem udali się do podziemi, by zapalić świece przed trumnami, magnat stanął nagle jakby rażony piorunem.

— Ojcze gwardjanie, toż to ten sam braciszek był u mnie po kweście — mówił Wielopolski, szczękając z przerażenia zębami, i wskazał na zwłoki brata Wolickiego.

— Ależ to niemożliwe, brat Wolicki zmarł przecież przed kilku miesiącami — tłumaczył gwardjan.

Wiadomość o cudownym wypadku przedostała się wkrótce poza mury klasztorne. Do podziemi o. o. Reformatorów zaczęły schodzić się tłumy, by wymodlić sobie łaskę u Anioła Nędzarzy. I nagle nastąpiło kilka cudownych uzdrowień"[10]).

Podanie to samo w sobie jest owiane pewnym sentymentem, tylko nie wspomina o tem wcale o. Jaroszewicz, co zdaje się być rzeczą dającą wiele do myślenia. Nie myślę tu kwestjonować jego autentyczności, od myśli takiej jestem daleki, pozwolę sobie jedynie zauważyć, iż analogiczne opowieści znaleźć można w żywotach innych wybrańców Bożych. Parę lat temu opowiadano mi legendę z Radomskiego o bł. Ładysławie z Gielniowa, który miał chodzić po śmierci i żebrać o wsparcie dla swoich żyjących jeszcze rodziców; podobny zaś fakt opowiedziałem w obszernym życiorysie czcigodnego sługi Bożego Rafała Chylińskiego, Franciszkanina [11]). Czy można tu przypuścić nieświadome przeniesienie motywu z życia jednostek innych? Wykluczone to nie jest, na co wskazywałoby milczenie na ten temat o. Jaroszewicza, ale czyż można też twierdzić coś podobnego kategorycznie?

Jak doszło do pierwszych łask za przyczyną o. Sebastjana, mniejsza o to, być może jednak, iż bezpośrednią przyczyną tego było zachowywanie się w całości ciała jego. Wspomina już o tem żywotopisarz ówczesnych czasów stanisławowskich, całe jest również dziś mimo dwuchsetlecia od śmierci. Współbracia zakonni już cztery razy zmieniali habity, które butwiały oraz rozpadały się na strzępy, a zwłokom nie działo się nic.

---

[10]) Błażejowski. Str. X.

[11]) J. M. Chudek: Żywot czcigodnego sługi Bożego Rafała Chylińskiego, Franciszkanina. Łagiewniki, 1927. Str. 65—67.

Po przytoczonem podaniu Błażejowski pisze: „Wtedy ówczesny przeor zakonu spisał te dziwne sprawy w kronikach klasztornych, zebrał podpisy świadków i wysłał pismo do Rzymu. Ojciec święty kazał przeprowadzić długi i staranny proces, który zakończył się beatyfikowaniem Sebastjana Wolickiego" [19]). Dziwna to zaiste ignoracja. Autor ów zwiedzał podziemie, gdzie leży świętobliwy Reformata, widział, że trumna z ciałem jego nie jest bynajmniej wyróżniona specjalnie i mimo wszystko zdobywa się na takie ryzykowne twierdzenie. O. Sebastjan błogosławionym nie jest. Gdyby nim był, szczątki jego spoczywałyby na ołtarzu w którymś z kościołów, doznawałyby jako relikwje, czci, lecz o to długo jeszcze trzeba starać się w św. Kongregacji Obrzędów, a właściwie trzeba myśleć, by te starania jaknajprędzej rozpocząć

Józef Marjan Chudek.

PRZYDROŻNY KRZYŻ.

Przy drodze, którą codzień z konieczności chodzę;
stoi w polu samotny, opuszczony krzyż.
Wichry i czas go zębem swym dotknęły srodze,
lecz jeszcze swe ramiona podnosi wzwyż.

Chrystus na nim zawisły minę ma stroskaną,
jakby smutny, przez ludzi opuszczony człek,
twarz nędzą ludzką, bliźnich cierpieniem zoraną,
włos szary, jakby troski przyprószył go śnieg.

A jeno oczy Jego dziwnym blaskiem płoną,
który serce człowiecze prześwietla na wskroś
i siłę mają taką, jakąś utajoną...
że klękaj i o win swych przebaczenie proś!

Lecz nie bój się. Nie straszne są Jego spojrzenia.
Człowiecze, chociaż boskie, nie Mściciel to Bóg!
To Pan, co zawsze skory do win przebaczenia,
co dobrotliwą ręką karci winy sług.

Codzień tamtędy chodzę, by Cię ujrzeć Chryste
i w Twojem człowieczeństwie czuć tę boską moc,
ujrzeć źródło miłości i prawdy przeczyste,
co rozjaśnia niewiary, zła i zbrodni noc.

Codzień tamtędy chodzę. Przed Tobą się korzę,
żem w zaślepieniu nie znał Twoich praw i dróg!
I teraz, gdy Cię widzę Człowiecze i Boże,
Dopiero wiem gdzie mieszka i wiem kim jest Bóg!

EDMUND ŁUKASIEWICZ.

---

[19]) Błażejowski. Str. X.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Starzy i młodzi.

Człowiek nie rodzi się dojrzałym duchowo i fizycznie, ani nie zawsze pozostaje do końca życia w pełni swych sił i czynnej akcji. Musi, niestety, przechodzić normalnie przez różne etapy i okresy życia, od niemowlęctwa; przez dzieciństwo, przez młodość do zupełnego rozwoju, a później skłaniać się ku schyłkowi w starości.

Z tych wszystkich życiowych etapów okres dojrzałości stanowi centrum i właściwe życie człowieka. Wszystko przed nim— to przygotowanie, a po nim—likwidacja życia.

Teologowie, opierając się na tej przesłance, że w niebie wszystko będzie w stopniu i w stanie doskonałym, wnioskują — nie bez słuszności — że każdy z nas (bo dla wszystkich nas jest tam miejsce)—po zmartwychwstaniu i ponownem połączeniu duszy z ciałem będzie w wieku dojrzałym, bez względu na to, czy umarł jako niemowlę, czy jako zgrzybiały starzec.

Niemowlęctwo i niedołężna starość, dzieciństwo słabe i jednostronność młodości, są albo niedorozwojem, albo upadkiem człowieka, a więc stanem niedoskonałym, gdzie albo fizyczna strona, albo duchowa, albo obydwie razem nie domagają, są chore i słabe, potrzebują opieki i pomocy, co się nie zgadza z pojęciem normalnej, samodzielnej natury ludzkiej. W niebie braków być nie może i wszystko musi być na najwyższym stopniu swej możliwej doskonałości. Nie będzie tam więc dzieci, wyrostków, starców, chorych i kalek—a będą tylko ludzie pełni energji, sił, zdrowia, o rozwiniętych władzach rozumu i woli, zmysłów opanowanych i uczuć.

Taką jest nasza perspektywa na przyszłość, bardzo pocieszająca i osładzająca wiele przykrości, wypływających z niedomagań różnych etapów życia.

Nie zapominając o tej miłej perspektywie, musimy jednak dzisiaj, dopóki jeszcze żyjemy na świecie, liczyć się z teraźniejszą rzeczywistością i brać pod uwagę wszystkie nasze słabości, ułomności i potrzeby różnych etapów życiowych, by je wyrozu-

mieć należycie, uwzględnić ich wymagania i prawa i uniknąć w ten sposób wielu nieraz bardzo bolesnych konfliktów.

Każdy bowiem z tych okresów ma swoje dobre i swoje słabe strony, swe talenty i braki, — najczęściej wprost przeciwnie: co w młodości jest wybujałem — w starości zanika zwykle, zato starość ma wiele cennych rzeczy, których młodości brak.

Wspólnie połączone i odpowiednio sharmonizowane, dopełniają się wzajemnie, pozostawione są same sobie, lub naprzeciw siebie, muszą być zawsze w rozterce i walce.

Tyczy się to prawie wyłącznie tylko okresu młodości — przed wiekiem pełnej (nietylko prawnej) dojrzałości i starości, gdy siły fizyczne upadną, a działa jeszcze rozum, bogaty w doświadczenie życiowe.

Niemowlęctwo i dzieciństwo są pod autorytetem i nie przedstawiają niebezpieczeństwa konfliktów. Wiek dojrzały jest samodzielny zupełnie, uszanowany przez starość i tę starość szanujący.

Rozdźwięki i rozgrywki bywają normalnie tylko między młodymi i starymi, którym trudno się zrozumieć wzajemnie i uzgodnić poglądy i postępowanie życiowe, a głównie przez brak uznania praw i potrzeb, należnych i wypływających z każdego wieku.

Widzimy młodych ludzi, z lekceważeniem odzywających się o osobach starszych i ich przestarzałych teorjach. Widzimy też ludzi starszych, potępiających w czambuł młodzież dzisiejszą i z rozpaczą patrzących w przyszłość narodu.

Ich formułą są słowa rosyjskiego poety: „tak, byli ludzie za naszych czasów — nie tacy, jak plemię dzisiejsze — bohaterowie, nie jak wy..."

Jeśli tak zawsze bywało, to przedewszystkiem dzisiaj, gdyśmy w ciągu lat kilkunastu przeżyli całe wieki — to zjawisko jest niemal powszechnem.

Niema zgody między starymi i młodymi, a młody mędrzec i starzec o duszy młodzieńczej należą do wyjątków. Czyżby nie było na to ratunku i czybyśmy musieli czekać aż na wymarcie starego pokolenia, by wreszcie ujrzeć upragnioną jedność.

Ludzie jednej epoki, choćby ona trwała lat tysiąc, łatwo się zrozumieją, ale na pograniczu dwu epok, w latach przeło-

mowych, gdy ścierają się dwa światy, jeden broniący do upadłego swej poprzedniej własności i drugi, prący naprzód z całym entuzjazmem, walczący metodami nowoczesnemi z pewnością ostatecznego zwycięstwa — w takich latach porozumienie możliwe jest tylko — powiedzmy sobie to szczerze — przy heroicznej ofierze. Ale bywały już nieraz ofiary heroiczne, bywali bohaterowie — mogą więc być jeszcze i dzisiaj. Sytuacja jest trudna, ale nie bez wyjścia.

Muszą więc naprzód zrozumieć młodzi, że starości należy się cześć i szacunek, przez to samo, że jest starością, że jest koroną życia, że ma za sobą lata znoju, twórczości i żmudnej pracy, której owoce dzisiaj spożywamy.

Całować trzeba ze czcią, jak świętą relikwję, spracowaną i drżącą już może dłoń starca i uchylać czoła przed siwym włosem, pokrywającym zoraną bruzdami minionych trosk starczą głowę weteranów przeszłości, choćby najskromniejszy był zakres ich działania.

Szacunek wobec dokonanej walki życia, jakąkolwiekby ona była dotąd — to pierwsze przykazanie dla młodych wobec odchodzącego pokolenia.

To jeszcze nie wszystko, bo dopiero część „platoniczna" stosunku młodych do starych.

Mimo rozpierającej młodość energji, która, przynajmniej w subjektywnem poczuciu, wystarczyćby mogła do podtrzymania, ba, nawet do wyrzucenia w powietrze całego świata: „naprzód, naprzód, bryło świata — na nowe cię pchniemy tory"— mimo tego prawdziwego skarbu młodości, musi jednak każdy młody człowiek przyznać w chwili spokojnej i uczciwej refleksji, że oprócz siły pędnej i motoru, potrzebny jest rozważny i roztropny motorniczy, że nie wystarczy sama moc i rozmach, że jednak koniecznym jest rozum kierowniczy. W przeciwnym bowiem razie te wszystkie cudowne wprost siły rwące do życia, jak energja elektryczna, nieumiejętnie zastosowana, mogą się stać — nie przez złą wolę, ale przez zwykłą nieopatrzność — siłą druzgocącą i niszczącą cały dorobek lat poprzednich i same zbiorniki energji.

Obok siły musi wystąpić rozum. Tego zaś za wiele młodość nie posiada. Psychologja stwierdza, że najwięcej nadziei i śmiałości mają młodzi, oraz... pijani i głupi. Bardzo to ży-

ciowe spostrzeżenie. Przed młodością wszystko jest przyszłe, niepodzielnie więc wśród niej panuje nadzieja lepszych dni i ona jest głównym motorem wszystkiego u młodych.

Jednocześnie zaś nie mając jeszcze skrzydeł opalonych, nie zetknąwszy się ze wszystkiemi, a przynajmniej z wieloma trudnościami życia i czując żywiołową siłę i moc w sobie, młodość niezawsze należycie ocenia wagę tych trudności, niedocenia je i bagatelizuje, dopóki twarda rzeczywistość, czasami zapóźno, nie otworzy jej oczu na prawdę życia.

To samo psychologja mówi o pijanych, dla których nie istnieją nawet latarnie na ulicach, bo według nich one winny ustąpić z drogi przed człowiekiem i o ludziach niespełnych rozumu, którzy widzą tylko część rzeczywistości, albo wogóle żyją w świecie fantastycznym—stąd znane przysłowie, że „nadzieja jest matką... głupich".

Nawiasem mówiąc towarzystwo to, niezbyt dla młodości zaszczytne, jest przez psychologów zarejestrowane z nią razem tylko przypadkowo, dzięki podobieństwu na tym tylko jedynym punkcie nieobliczalności. Na tem zaczyna się i kończy cała pararela.

Ale, jeżeli tak jest, jeżeli stwierdzonem zostało i teoretycznie i zresztą, niestety, praktycznie to niebezpieczeństwo młodości, należy się z niem liczyć i uczciwy młody człowiek, niezaślepiony blaskiem swej młodości, będzie je brał zawsze pod uwagę i będzie szukał wyrównania tego dotkliwego braku swego wieku.

Gdzie znaleźć to wyrównanie?

Teorję znajdzie każdy łatwo w poważnych studjach i odpowiedniej lekturze. Praktykę we własnej obserwacji świata i jego zjawisk, a przedewszystkiem w obcowaniu i dobrej radzie tych, którzy już więcej życia przeżyli i dobrze nam życzą: — w mądrości życiowej ojca, dziada czy serdecznego przyjaciela.

Prawda, że ludzie poprzedniej epoki (która się zakończyła w r. 1918—20) często jeszcze myślą jej kategorjami, trudno im się otrząsnąć z dawnych wyliczeń i kalkulacji i wczuć w nowe warunki życia, ale to dotyczy przeważnie tylko metod działania, które zmieniły się zasadniczo na niejednym punkcie, zasady jednak życia i ogólne wytyczne postępowania pozostały te same.

Nie sprzeczając się więc o wartość nowych kierunków, ani

o nowoczesne, powojenne szaleństwa ludzkie — bo to jest zbyt przykrem i zupełnie niezrozumiałem dla ludzi przedwojennych— warto, by młodzież po dobrą radę, szczególnie w momentach ważnych szła do ludzi siwizną okrytych i uczyła się u nich mądrości życia, dopełniając w sobie to, czego młodości nie dostaje.

Nie będzie to dla niej ujmą, a tylko dowodem dojrzałości, która bezstronnie i poważnie zapatruje się na wszystko, a w pierszym rzędzie na własne wartości i braki.

Jedna jest jeszcze wielka misja i wielkie zadanie młodości w stosunku do starszych.

Młodość — podkreślamy — to siła, rozmach życiowy i radość. Starość zaś — to zanik sił, zniechęcenie, zmatowanie, często bezwład, wynikający z rozczarowań poprzednich i wiele nieraz smutku po tych co już odeszli, po tem co już przeszło, zostawiwszy tylko wspomnienia. — Życie wspomień, gdy się godzinami całemi, w samotności i opuszczeniu, ze spuszczoną głową odtwarza wszystko minione, nie mając już nic przed sobą, coby budziło żywszą nadzieję, poza bliższą już wiecznością— i czyniąc dokoła siebie straszliwą pustkę. — Jak po żniwach na zżętem ściernisku, gdzie jeno gęsi wyskubują pozostałe resztki i ptactwo polne gromadami zlatuje się, szukając żeru. Szczęliwie, gdy plon był obfity i wypełnił wszystkie śpichlerze. Ale, gdy się nie udał, a może z własnej winy. W najlepszym nawet wypadku dla samych oczu i uszu smutno i tęskno, gdy tam, niedawno jeszcze falowało przepyszną barwą chlebodajne zboże, szumiąc na wietrze dojrzałym kłosem, dzisiaj łodygi tylko sterczą, jak bielejące piszczele na dawnem polu bitwy, a wiatr jesienny szumi, ale już jakoś inaczej...

W takich momentach, poza wiarą w Boga i w słoneczną nieśmiertelność, jedyną pociechą może być tylko widok jasnych pogodnych uśmiechniętych młodzieńczych twarzy, z oczami pełnemi życia i umiłowania, przez które wyziera dusza, kochająca to wszystko i tak samo, co się dawniej kochało, choć może odmiennemi chodząca drogami. Odrodzenie powtórne w nowem pokoleniu, które — jak oni dawniej — ujmując dzisiaj w krzepką dłoń ster łodzi życiowej, ciesząc się i radując tych, przez których to życie ku nim zstąpiło.

W tym momencie wystepuje jeden z najważniejszych obowiązków społecznych i rodzinnych młodości: — by być mocą i radością starszych. Jak to zrobić — to już rzecz konkretnych okoliczności, by nim okazać, że się miłuje to, co było treścią ich długiego życia, nie dając im odczuć ich niedołęstwa, szanując i czcząc ich pracę i wiek, nie raniąc w subtelnym instynkcie ich tradycyj nowoczesnemi rzeczami i otaczając ich dokoła jakby wieńcem wawrzynowym zwycięstwa, pełnym słońca, barw i radości.

Trudniej jest starym pogodzić się z nowym porządkiem rzeczy. Dawne nawyknienia, długoletnie przodowanie we wszystkiem i autorytatywne rządy domem, gdy nowe pokolenie jeszcze nie wyszło z lat dziecinnych, na długo utrwalają w duszy poczucie władzy i panowania, rolę wyroczni we wszystkich sprawach, niecierpiącej sprzeciwu. Przykro jest zresztą zawsze każdemu człowiekowi, jakiekolwiekby zajmował stanowisko w domu, czy w społeczeństwie, rozstawać się ze swem berłem i koroną, choćby najskromniejszą i powiedzieć sobie otwarcie, „iam viximus" — już eśmy przeżyli życie. A świat idzie, a raczej pędzi swoim torem. Nowe potrzeby, nowe metody, nowe poglądy wyrastają każdego dnia i już się ich nie chwyta w lot, tak, jak to dawniej bywało.

I lata idą. Ten niedawny „drobiazg" dziś już jest podstawą społeczeństwa i już nowy „drobiazg" obok nich kroczy— już dochodzi do lat dojrzałych, tem bardziej, że dojrzewanie przynajmniej w subjektywnem znaczeniu jest w okresie, który przeżywamy obecnie, przyśpieszone w niektórych wypadkach nawet o całe lat pięć. Dzisiaj prawie że niema przejściowego wieku z lat dziecinnych do dojrzałości, z gąsienniczki, pomijając okres poczwarki,, wyfruwa odrazu samodzielny motyl.

I ta młódź, która nie widziała nigdy dawnego, przedwojennego życia, pełnego tradycji, a od kolebki huczały jej nad głową pękające granaty, albo wirował w oczach rozhukany świat lat ostatnich, oprócz zasady samej uczciwości, celowości i t. p. podstaw etycznych, nie zrozumie nigdy dawnych metod, bo one są już prawdziwym archaizmem na tle współczesnem, ani nawet nieraz dawnych poglądów na konkretne sprawy, bo dziś już one inne mają oświetlenie.

Musimy się z tym faktem liczyć i zrozumieć to proste zjawisko, że tam, gdzie zmieniły się przesłanki, inną też musi być i konkluzja.

Zadaniem więc starych w stosunku do młodych winno być pielęgnowanie w nich zasady, która się nigdy nie zmienia, nie poruszając jednak konkretnych przejawów współczesnego życia. Podtrzymywać korzeń drzewa życia, by on był zawsze zdrów i nienaruszony — a wtedy i pień i korona i kwiaty i owoce, choć będą zmieniały formę i barwę i zapach i smak, zależnie od tego, co je otaczać będzie i jakie im będzie świecić słońce, pozostaną zawsze nowe na nowem codziennem tle.

W ten sposób zapanować może ta cudna harmonja, która jest pełnią życia: wzajemne dopełnienie dwu krańców: młodości i wieku starszego

Siwa głowa pozostanie nadal ogniskiem prawdy i mądrości odwiecznej, a młodość bujna stanie się jej ramieniem, podporą, radością i uśmiechem, idąc wciąż zawsze naprzód z całym rozmachem potęgi życia, pnąc się coraz wyżej ku słońcu, w coraz to nowsze biegnąc światy — ale zawsze, jak na kotwicy, i na fundamencie granitowym dziadowej i ojcowskiej mądrości oparta, z wiarą w przyrzeczenie Mistrza: „a prawda was oswobodzi". *Ks. A. Bogdański.*

O moralność i patrjotyzm w życiu publicznem.

Odkąd zaczęło się zatruwanie naszego życia publicznego. — „Kara na P. P. S."—Konsekwencja popełnionych wspólnie występków przeciwko państwu i narodowi. - Walka o Kasy Chorych i jej pobudki.—Walki potępieńców.—Atmosfera nienawiści i spychania w dół.—Czy można formy walki złagodzić? — Pod jakimi warunkami.

Nie można powiedzieć, aby moralność naszego życia publicznego stała dzisiaj wysoko, a atmosfera w nim panowała zdrowa i czysta. Temat jest przykry... trzeba go jednak poruszyć w piśmie katolickim.

Zatruwanie atmosfery naszego życia publicznego zaczęło się od zarania naszej niepodległości i nie było czemś nowym,

oderwanym od życia lecz prostą konsekwencją dziejów poprzednich lat, ciężkiego okresu niewoli, rewolucji 1905 roku i innych wydarzeń. W momencie, kiedy 30 miljonowy naród po stukilkudziesięcioletniej niewoli, odzyskał wreszcie byt niepodległy i uwalniany stopniowo od wrogiej okupacji, poczuł się znów panem na własnym terytorjum, gdy wszyscy myśleli o czekającym ich olbrzymim wysiłku budowy własnego państwa i każdemu zdrowo myślącemu obywatelowi-patrjocie narzucała się poprostu myśl wytworzenia rządu, reprezentującego dążenia i potrzeby całego społeczeństwa, wszystkich jego ugrupowań, rządu jaknajbardziej „koalicyjnego", szerokiego, międzypartyjnego, który usuwając na bok i łagodząc wszelkie animozje partyjne, zaprzągłby wszystkich do jednej zgodnej pracy—w tym momencie ci, w których ręku znajdował się ster, powołali do życia gabinet socjalistyczny Moraczewskiego, pierwszy rząd niepodległej Rzeczypospolitej

Nie znajdzie się chyba nikt w Polsce, któryby twierdził, że rząd Moraczewskiego był wyrazem dążeń i potrzeb ówczesnego społeczeństwa. Fakt, że rząd ten ustąpił pod naporem powszechnej niechęci 90% narodu bezpośrednio po stłumnieniu nieudolnego zamachu, zorganizowanego przeciwko niemu—mówi chyba sam za siebie. Przez sam jednak fakt istnienia i prowokowaniu swymi jednostronnymi zarządzeniami większości narodu—rozpalił on do czerwoności namiętności polityczne i przygotował grunt pod przyszłe, niejednokrotnie fatalne wydarzenia.

Naród polski nie dał się zamknąć w zaraniu swojej niepodległości w wąskie ramy dotkryny socjalistycznej. Sama jednak próba tego zamknięcia kosztowała nas bardzo drogo. Stała się ona genezą rozpętania w Polsce walk partyjnych w zaraniu jej niepodległości. Odpowiedzialność będzie wyraźnie ustalona na kartach historji..

Odkąd temperatura tarć politycznych idzie stale w górę, coraz więcej gromadzi się wzajemnych nieporozumień, kłótni, zarzutów, insynuacyj, oszczerstw i miotanych na siebie gromów. Wszelkie usiłowania ludzi dobrej woli, zmierzające raz po raz do wytworzenia jakich takich form madus vivendi napotykają na nieprzezwyciężone przeszkody, atmosfera staje się coraz bardziej duszna, napełniona miazmatami rozterki i nienawiści, z krótką przerwą rządów jedności narodowej podczas odpierania ofenzywy

bolszewickiej — aż wreszcie następuje mówiąc językiem cenzuralnym przewrót majowy i powstaje system rządzenia, którego zasadniczą cechą i nieledwie zadaniem jest systematyczne gnębienie i wyniszczanie jednych organizacji politycznych przez drugie.

* * *

„Kara na P. P. S."—pod tym tytułem ukazał się już dawniej artykuł w „Głosie Narodu", tak charakterystyczny i ciekawy, że cytujemy go w całości:

„Sprawę Liebermana łagodzi brak wogóle jakichkolwiek u niego przekonań. Przeżarty pozą i fałszywym patosem nie ma ani społecznych, ani politycznych przekonań. Nie podejrzewam go zupełnie o jakiekolwiek uczucia dla państwa polskiego"... Tak wygląda w oświetleniu p. Jędrzeja Moraczewskiego gwiazda pierwszej wielkości na firmamencie PPS.—poseł Lieberman. Towarzysze z „frakcji" demaskują bezlitośnie jedną wielkość pepesowską za drugą. Arystydesi i Katoni, bohaterzy, który przez lata całe codziennie mieli przelewać krew za Polskę, patrjoci surowi i nieugięci—są teraz przez Moraczewskiego, Malinowskiego i redaktorów „Przedświtu" ściągani bez ceremonji ze szczudeł i okazywani publicznie na wystawie karłów i komedjantów. Odniesione rany? Podobno p. Lieberman ma jedną na ręce—z czyraka. Patrjotyzm? Czyż to nie Zaremba i Kwapiński naradzali się w czasie bitwy pod Warszawą nad urządzeniem rewolucji? A Żuławski i Stańczyk czyż to nie przebrani bolszewicy? Odwaga, bezinteresowność? Jeden z przywódców PPS. dostał ataku nerwowego, gdy zaczęto w nim szukać tych cnót obywatelskich. O pomniejszych zarzutach i drugorzędnych figurach PPS., prześwietlanych dziś aparatem analitycznym „Przedświtu" już nie wspominamy. Gdy się skończą te rewelacje, trzeba będzie rzucić w ogień broszury Plutarcha o żywotach „wielkich towarzyszów" i napisać prawdę tak sensacyjną, jak zuchwałą była dotychczasowa o nich mistyfikacja.

Naturalnie zarzuty spotykają się z protestami. P. Lieberman pisze o p. Moraczewskim, że „cechuje go niemal chorobliwa manja szkalowania", że „pióro, którem wypisuje przeciw różnym osobom swoje paszkwile, umaczane jest najczęściej w błocie". Wybornie, p. Lieberman, ale przyjmując nawet, że wszystko, co Pan w swym artykule wypisuje o charakterze i przeszłości Moraczewskiego, odpowiada ścisłej prawdzie, czytelnik nie może powstrzymać się od niewinnego pytania: „Czemuż w takim razie Pańska partja tak długo, bo aż do roku 1927, obdarzała p. Moraczewskiego najwyższemi godnościami, czemu go wysyłała do gabinetu, stawiała na czele swoich władz? Jak mogliście tolerować przez zgórą 20 lat człowieka, który „na barkach klasy robotniczej, bez ryzyka piął się w górę i który w roku 1915 publicznie na zebraniu miał oświadczyć, że „dobrą politykę robi się tylko oszustwem"? Wiedzieliście to wszystko, a mimo to był towarzysz Jędrzej przez lata całe waszą dumą, waszym Arystydesem, waszym wodzem... Nie, p. Lieberman, tak prędko nie załatwi się Pan teraz z „obłędnym świętoszkiem"—jak Pan nazywa w ostatnim „Robotniku" pana Moraczewskiego".

Chorobliwa „manja szkalowania"! Nareszcie odczuwają socjaliści na sobie i na swojej partji skutki tych ohydnych metod szkalowania, insunuowania i podejrzewania, jakie stosowali przez dziesięć lat wobec swych przeciwników. Nie było kampanji osobistej przeciw wybitnym osobom z obozu umiarkowanego, w której socjaliści nie graliby roli „wybitnej". Nie było plotki, którejby nie wyolbrzymili i nie zniekształcili. Byli przy pracy, gdy chodziło o to, by wyszczuć z rządów i z kraju najczystszą sławę Polski Ignacego Paderewskiego, Ich ofiarą padł Linde, dopiero po śmierci zrehabilitowany, a co pisała prasa PPS. o Dmowskim, o Dowborze, o Hallerach, o księdzu Adamskim, ks. Lutosławskim, o St. Grabskim, o Rozwadowskim, Zagórskim! Każdy z nich był jakimś potworem moralnym, do każdego z tych nazwisk przyczepiła jakąś złośliwą plotkę, każdego pomogła „zlikwidować" Któż to jak nie władza partyjna PPS. po przewrocie majowym zażądała — zgodnie z artykułem pana Moraczewskiego w „Robotniku"—zaaresztowania, postawienia przed sądem wszystkich niemal byłych ministrów „prawicowych" i piastowych? Czyż i p. Lieberman nie uczestniczył w tej wstrętnej hecy, szargającej w błocie honor ludzi zasłużonych? Trzeba było trzech lat rządów pomajowych, by stało się jasnem, że można stawiać wszystkie zarzuty, ale udownić nie można żadnego, mimo że się ma dzisiaj dostęp do najtajniejszych aktów. Ktoby dzisiaj potrafił powtórzyć choćby jeden konkretny zarzut przeciw Witosowi, Kiernikowi, a przecież dwaj ci politycy byli ścigani jak wściekłe psy przez socjalistyczną prasę. Trzeba było silnych nerwów by wytrzymać tę nagonkę.

PPS. tak zatruła atmosferę polityczną Polski zabójczemi bakterjami kalumnji, że praca publiczna stała się dla obywateli prawdziwą męczarnią. Ta to atmosfera przygotowała zamach majowy. Przeszedł on w momencie, gdy dzięki propagandzie socjalistycznej wszyscy wybitni politycy niesocjalistyczni uzyskali opinię „złodziei". Z zapałem przyłączyła się następnie PPS. do sanacji „moralnej" i nieustawała w wiwatach na cześć przewrotu. Pisaliśmy wówczas, w pierwszych dniach po maju, że spotkamy się z ówczesnemi zwycięzcami pod Filippi. Dziś spotykamy już PPS. na tem sławnem polu odwetu. PPS. trząsąc się z obawy nowego zamachu otrzymuje cięgi zasłużone od swoich własnych towarzyszów i od sojuszników. A to przecież dopiero początek. Kara przyszła szczególnie bolesna bo ze strony bliskiej. Nie triumfujemy z tego powodu, ale i nie współczujemy. Kara jest potrzebną za siedem lat orgji kalumnjatorskich i za zdradę demokracji".

Tak pisał „Głos Narodu" 20 kwietnia 1929 roku, kiedy jeszcze ministrem Pracy i Opieki Społecznej nie był p. Prystor, kiedy jeszcze Kasy Chorych znajdowały się w rękach P. P. S.... Jak słusznymi i pełnymi przewidywania wydają się dzisiaj te słowa!

Porządek moralny ma to do siebie, że deptać po nim bezkarnie można tylko do czasu, w pewnym momencie bowiem skutki popełnionych występków poczynają się mścić na sprawcach, bardzo często w sposób przez nich najmniej przewidywany. Tak się stało

z dotychczasowymi sprzymierzeńcami i twórcami zamachu majowego. Przez pewien czas łączyły ich wspólne namiętności i nienawiści, nie był to jednak, jak się okazało, trwały węzeł przyjaźni.

Można powiedzieć, że te same namiętności, które ich złączyły, przyczyniły się następie do ich rozdzielenia. P. P. S. wobec każdego rządu stosować zwykła w zasadzie wygodną metodę opozycyjną, przynajmniej na zewnątrz.

Taką metodę poniekąd musi stosować ze względu na swój stosunek demagogiczny wobec mas robotniczych i ustawiczne licytowanie się na tym terenie z komunistami. Równocześnie jednak P.P.S. korzystało z poparcia niejednego rządu, zapomocą oddanych sobie ludzi na stanowiskach ministerjalnych. Tak było i w pierwszych latach rządów sanacyjnych, kiedy w nagrodę za czynną pomoc P.P.S. podczas zamachu majowego (strajk kolejowy i poparcie w prasie oraz zapomocą bojówek), dawni towarzysze pracy z grup sanacyjnych patrzyli przez palce na „wybryki opozycyjne" prasy socjalistycznej i klubów parlamentarnych P.P.S. Taki stan rzeczy nie mógł się jednak długo utrzymać i obecnie dawni sojusznicy stali się zaciętymi wrogami. P.P.S. otrzymała od nich cios najboleśniejszy, gdyż w jej łonie został zorganizowany rozłam a powstała w drodze rozłamu t. zw. frakcja rewolucyjna używa w walce ze swą macierzą socjalistyczną, tych metod, których się dawniej od niej nauczyła, obecnie zaś w oczach całego kraju „grupa pułkowników", wyposażona w środki publiczno-prawne wydziera P.P.S. kasy chorych, jedną z najsilniejszych i najkorzystniejszych domen i źródeł wpływów tej partji cenę polityki szantaży i „opozycji", uprawianej przez tę partję w stosunku do szeregu gabinetów poprzednich. Tak więc jesteśmy świadkami wzajemnej walki ugrupowań obozu lewicowo-radykalnego, który w r. 1905 tworzył jedną zwartą całość, a w r. 1926 dokonał wspólnie zamachu stanu, sięgając zbrojną ręką po władzę w Rzeczypospolitej i likwidując faktycznie stan prawny, ustalony przez ustawę konstytucyjną z 17. III. 1923.

* * *

Jeśliby pod uderzeniami „rządu pułkowników" zachwiały się istotnie szeregi P.P.S. i partja ta utraciła znaczną część swoich wpływów, byłby to bodaj jedyny względnie dodatni skutek obecnego systemu rządów, nie wynagradzający oczywiście krajowi

szeregu skutków ujemnych, których opisywanie nie jest tematem dzisiejszego artykułu.

Musimy pamiętać, że walka, która się toczy między sanacją a P.P.S. którą w danym wypadku całkowicie odróżniamy i eliminujemy od stanowiska opozycyjnego ugrupowań prawicy i centrum—nie jest podjęta w imię wyższych ideałów moralnych i państwowotwórczych. Chodzi tu o rzeczy zupełnie prozaiczne: o usadowienie się mocniej na siodle rządowym, o opanowanie instytucji samorządowych swoimi ludźmi i dla swoich ludzi. Istotę tej walki charakteryzuje „Gazeta Warszawska" w sposób ostry, lecz nie pozbawiony słuszności, pisząc:

„W popularnem malarstwie religijnem znane są obrazy, przedstawiające walki potępieńców, spychających się nawzajem i spychanych przez szatanów na dno... piekła.

Obraz podobny ciśnie się przed oczy wyobraźni obserwatora obecnej fazy walk politycznych w Polsce. Ludzie, którzy przez dziesiątki lat razem robili politykę, którzy od tego czasu ani się nie poprawili, ani nie pogorszyli, którzy znali dobrze nawzajem swoje słabe strony, nagle w potępieńczym szale rzucają się na siebie i wszelkimi sposobami spychają się wzajem na dno".

A zaraz potem dodaje:

„Istnieje grupa potępieńców, która wszelkiemi siłami na samo dno piekła chce zepchnąć — Sejm. Niedawno napiętnowaliśmy niegodziwą odezwę Ligi mocarstwowej, obecnie przytaczamy nielepszą monarchistów, wydaną „w rocznicę Konstytucji 3-go maja". Czytamy znów, że „Sejmy, Sejmiki i Rady Miejskie potworzyły niszczące Naród Polski prawa". że na przewodników stronnictw sejmowych wybijają się próżniacy, aferzyści, bezczelni złodzieje grosza publicznego, obrońcy sutenerów i zdrajców ojczyzny", że wogóle Sejm jest „siedliskiem korupcji i zdrady".

Na miły Bóg — co to za robota? Komu zależy na tem, aby splugawić w Polsce wszystko i wszystkich? To tak działają w Polsce monarchiści, którzy są gdzieindziej stronnictwem umiarkowanem, konserwatywnem, stronnictwem ładu i dobrych obyczajów? Czy sądzą, że w ten sposób utorują drogę monarchji?

Nie, to nie jest droga do umiarkowanej monarchji, lecz do anarchji, a potem do — bolszewizmu!

Nie mamy żadnego powodu bronić ani obecnego, ani poprzedniego Sejmu. Wiemy że parlamentaryzm polski wymaga naprawy przez zmianę ordynacji wyborczej. Nie mniej jednak twierdzimy, że Sejmy polskie nie były i nie są siedliskiem korupcji i zdrady. Nie nasz człowiek, ale długoletni przyjaciel Piłsudskiego, senator Motz, znający doskonale stosunki europejskie i patrzący na Polskę przez ich pryzmaty, nie wahał się w Senacie dobitnie zaprotestować przeciw nagonce na Polski Sejm.

Cieszycie się, że ta nagonka znajduje posłuch wśród szerokich mas? Niestety, tak jest. Ale czy wiecie, co te masy myślą o was, wrogach Sejmu?

Powiadają sobie poprostu: „Tacy dobrzy jedni, jak i drudzy". A wniosek? Lepiej o nim nie mówić.

Więc uciszcie się, potępieńcy! Wiadomo, którym z was należy się honorowe miejsce na dnie piekła, na które chcecie zepchnąć Sejm. I niebyśmy nie mieli przeciw temu, żybyście się tam wcześniej znaleźli, gdyby nie obawa, że razem z sobą i Sejmem posiągnięcie tam naród i państwo. Bo ku temu idziecie, nieszczęśni potępieńcy, jeśli sądzicie, że unikniecie piekła, gdy innych będziecie spychać — na dno! Złudna nadzieja! Sprawiedliwość dziejowa umieści każdego we właściwym dla niego kręgu. Miejsce na dnie jest zarezerwowane. Zatem pozostawcie naród i państwo w spokoju".

Smutne refleksje opanują każdego szczerego patrjotę, gdy zastanowi się głębiej nad obecną sytuacją wewnętrzną państwa W każdym społeczeństwie kulturalnym muszą być pewne autorytety życia publicznego: ludzie i instytucje, do których warstwy społeczne, wyższe i niższe mają przynajmniej w pewnym stopniu zaufanie i szacunek. Społeczeństwu, w którym wszelkie autorytety są podważane, grozi anarchja, walka wszystkich przeciwko wszystkim i upadek.

Kto i co jest w chwili obecnej autorytetem w Polsce z punktu widzenia poglądów przeciętnego chłopa, robotnika, czy inteligenta. Zastanówmy się. Czy przywódcy „sanacji moralnej", czy przywódcy ugrupowań jej przeciwnych, czy może zohydzany systematycznie Sejm i Senat, lub instytucje samorządowe?

— Lepiej wstrzymać się od odpowiedzi!

* * *

Pół biedy byłoby jeszcze, gdyby tylko ugrupowania obozu radykalno-lewicowego były z sobą w stanie zażartej walki o władzę, a z drugiej strony mógł się im przeciwstawić zwarty i jednolity front ugrupowań katolickich i „umiarkowanych". Wiemy jednak, że tak nie jest, że między organizacjami prawicy i centrum dochodzi bardzo często do ostrych scysji, a nawet walk, prowadzonych często, przynajmniej z jednej strony, wcale nie metodami chrześcijańskiemi.

I trzeba stwierdzić objektywnie, że inicjatywa w tych walkach w łonie „obozu umiarkowanego" znajduje się w rękach ugrupowania nacjonalistycznego, które, dążąc do zrealizowania pewnego rodzaju monopolu, pragnie za wszelką cenę poderwać siłę organizacyjną i opinję innych ugrupowań, spełniając wobec nich podobną rolę, jak „sanacja" wobec P. P. S.

Rzecz zrozumiała, iż taki stan rzeczy prowadzi do ogólnego zakłócenia porządku społecznego, do walki wszystkich przeciwko wszystkim.

* * *

W ostatnich czasach jedno z pism wystąpiło z projektem pewnego rodzaju rozejmu między walczącymi i skłóconymi grupami, proponując, aby w imię „mocarstwowego rozwoju demokratycznej Polski" obie strony t. j. rząd i opozycja — stępiły „ostrość wzajemnego nastawienia". Należy zanotować fakt charakterystyczny, że wystąpienie to spotkało się naogół z dużą niechęcią, zwłaszcza ze strony prasy nacjonalistycznej. Rzucano nawet gromy na inicjatorów, zarzucając im nieczystość pobudek.

Fakt ten wskazuje, że ogólna atmosfera nie jest wcale nastawiona w kierunku zmniejszenia się istniejących tarć.

Nam chodzi jednak o co innego, a mianowicie, czy, merytorycznie biorąc, słuszną jest rzeczą wysuwanie zasady stępienia ostrości wzajemnego nastawienia w chwili obecnej i czy zrealizowanie tej zasady byłoby możliwe w dobie obecnej.

W imię zasad chrześcijańskich i zdrowego patrjotyzmu chętnie odpowiadamy twierdząco na obydwa pytania. Nie możemy jednak powstrzymać się od uwagi, że realizacja tych zasad nie jest tak łatwa, jakby się wydawało na pierwszy rzut oka. Chodzi o to, kto ma dać pierwszy inicjatywę do zgody, pierwszy wyciągnąć rękę do swoich przeciwników, pierwszy ogłosić rozejm i „Treuga Dei". Wszak nie może tego uczynić żadne z ugrupowań prawicy, czy centrum, prześladowanych przez obecny system, gdyż taka inicjatywa z tej strony byłaby przyjęta, jako akt poddania się i wywieszenia białej chorągwi, a zresztą nie są oni stroną zaczepną i nie od nich zależy zaprzestanie walki.

Sprawiedliwość i logika faktów wymaga, aby pierwsi dali inicjatywę ci, którzy najbardziej przeciwko jedności i zgodzie społecznej nagrzeszyli, którzy, już nie mówiąc o ich sposobie dojścia do władzy, zwalczali parlament jako instytucję, usuwali swoich przeciwników z armji i z administracji, używali niegodnych środków w akcji wyborczej, oni powinni dać pierwsi dowód dobrej woli t. j. przedewszystkiem zaprzestać natychmiast metod dotyczasowych i od tego zacząć łagodzenie zaognionych stosunków.

Pierwsi winni dać inicjatywę ci, którzy, znajdując się u steru rządu, w pierwszym rzędzie mają obowiązek dbać o interes państwa, a reprezentując jego autorytet wobec kraju, mają prawo dawać inicjatywę wszelkim pożytecznym dla państwa poczynaniom w myśl zasady: Caveant consules...

Czy zaprzestaną dotychczasowych metod i czy dadzą inicjatywę do złagodzenia tarć politycznych—Bóg jeden wie tylko. Jeżeli jednak nie uczynią tego, a moment bodaj ku temu ostatni, lub może nawet już nieco spóźniony—wówczas długie jeszcze walki i spory wewnętrzne będą opóźniać i utrudniać rozwój mocarstwowy Polski—a po czasie ctworzy się nowa karta historji, smutna i tragiczna z napisem: **„kara na sanację”.**

S. J. K.

Wielkie przeoczenie.

Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu miała być zobrazowaniem dziesięcioletniego dorobku naszego na wszystkich polach, tymczasem skończyło się na tem tylko, że „miała być“. Jeśli się weźmie taką np. Wystawę Rządową, to daje ona obraz mniej więcej dokładny tego, co zrobił nasz rząd, nieźle także spisały się przemysł, handel, organizacje społeczne, czy nawet dobroczynne, ale zaspali sprawę katolicy. W danym wypadku nie mamy na myśli organizowania wystawy kościelnej, to bowiem możeby trochę ubliżało godności Kościoła katolickiego, sprowadzając go do rzędu wystawcy — instytucji, bądź wystawcy — firmy, jeden wszakże dział pracy katolików polskich powinien znaleźć się na wystawie koniecznie. Działem tym jest współpraca misyjna.

Akcja na rzecz misji rozwinęła się w Polsce na dobre dopiero po odzyskaniu niepodległości, ponieważ zaborcy krępowali oraz tamowali jej rozwój, zmuszając nawet do konspirowania się, wobec tego należało nasze najświeższe zdobycze pokazać swoim i obcym tembardziej, że praca misyjna jest obecnie, jak gdyby kamieniem probierczym idealizmu oraz żarliwości wiary poszczególnych narodów. Do tego, niestety, nie doszło. Komu przypisać winę za to wielkie przeoczenie, trudno osądzić, — nie chcemy tu rzucać bezpodstawnych oskarżeń —

spowodował to więc zapewne brak centrali całego ruchu misyjnego na Polskę i chodzenie każdej organizacji śladem kiplingowskiego kota własnemi drogami. O ile nam wiadomo, Związek Misyjny Polek za staraniem p. Kazimiery Berkanówny uzyskał od dyrekcji Powszechnej Wystawy Krajowej bezpłatne stoisko, za co dyrekcji tej należy się prawdziwe uznanie, jednak ostatecznie organizacja owa z tego nie skorzystała, jeno urządziła krótkotrwałą wystawę na mieście. Czem wytłumaczyć tę nagłą dezercję? Skąd takie nierycerskie wycofanie się z przyznanego stanowiska? Ze swej strony na podstawie informacyj z dobrze poinformowanych źródeł możemy stwierdzić z całą pewnością, iż dyrekcja wystawowa nie jest winna ani trochę. Może tak Związek Misyjny Polek udzieli w tej sprawie wyjaśnienia dokładniejszego.

By nie gadać za wiele, rzec trzeba, że popełniliśmy wielkie przeoczenie. Z pracy naszych misjonarzy znalazło się tylko parę fotografij placówek polskich o. o. Oblatów w Kanadzie, umieszczonych w pawilonie Polonja zagranicą. Tylko tyle, a powinien być cały pawilon.

Należycie postąpili Hiszpanie na swojej trwającej teraz Wystawie Międzynarodowej w Barcelonie. Tam wzniesiony został specjalny Pałac Misyjny o przestrzeni pięciu tysięcy metrów kwadratowych, jak głosi leżący przed nami wspaniale wydany prospekt. Budowla ta — sądzimy z podobizny — pod względem architektonicznym przedstawia się imponująco. Do urządzenia wystawy w niej przyłożył rękę, kto mógł. Paryski „La Croix" z dnia 5 września r. b. pisze między innemi: „Król hiszpański, który bardzo interesuje się kongresem misyjnym i manifestacjami, związanemi z nim, dał upoważnienie na wystawienie na wystawie misyjnej sławnego krzyża „Chrystusa św. Franciszka Ksawerego", przechowywanego troskliwie w kaplicy królewskiej w pałacu w Madrycie. Krucyfiks ten pupularnie nazywamy „Christo del cangrejo" (Chrystus kraba) będzie przeniesiony do Barcelony przez infułata don Fernanda".

Sto lat temu Joachim Lelewel wykazywał podobieństwa między Polską a Hiszpanją. Dzisiaj rzecz ma się odwrotnie: należałoby raczej wykazywać różnice.

J. M. Ch.

Siostry Katechistki Misjonarki Marji Niepokalanej.

Prasa codzienna podała krótką wiadomość, że do Polski sprowadzić się mają niebawem siostry Katechistki, Misjonarki Marji Niepokalanej, wobec czego nie od rzeczy będzie podanie o nich bodaj paru szczegółów informacyjnych.

Siostry Katechistki są członkiniami Towarzystwa Córek św. Franciszka Salezego, ufundowanego dnia 15 października 1872 r. przez ks. Kanonika Chaumont, którego proces beatyfikacyjny został już rozpoczęty, oraz przez Karolinę Colchen Cavie. Konstytucje jego przez Stolicę Apostolską zatwierdzone zostały ostatecznie dnia 26 kwietnia 1911 r. Pierwszy wyjazd sióstr Katechistek na misje nastąpił dnia 12 października 1889 r., a więc czterdzieści lat temu. Zakonnice wyruszyły z Marsylji do Nagpore, w Hindustanie, na zaproszenie tamtejszego biskupa.

Obecnie siostry Katechistki posiadają siedemnaście domów w Indjach (sześć w Nagporze, dziewięć w Kumbakoman, dwa w Bangalorze) i jeden na Madagaskarze (w Imerimandroso). Wogóle tworzą one dzieła, któreby pozwoliły im zbliżyć się do kobiety pogańskiej we wszystkich stadjach jej życia, a więc żłobki, sierocińce, pracownie, szkoły, lecznice, szpitale, schroniska dla trędowatych oraz dla wszelkiego rodzaju nędzy. Na misjach zakonnice ponadto nawiedzają w czasie długich wycieczek chorych i chrzczą tych, którym grozi śmierć. Biskupi misyjni domagają się coraz więcej takich właśnie pracownic misyjnych, co świadczy najlepiej, jak są pożyteczne.

Podstawą pracy apostolskiej sióstr Katechistek ma być doskonałość osobista oraz głębokie życie wewnętrzne, oparte na wskazówkach z pism św. Franciszka Salezego.

jmch.

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Wergiliusz jako poeta mesjaniczny.

Maro, Maro, vates gentilium,
Da Christo testimonium!

Tak śpiewało średniowiecze w jednym z owych „Mysterji" na Boże Narodzenie napisanych, w których łączyła się dziecięca pobożność minionych wieków ze zdumiewającą nieraz głębią myśli i uczuć. Zwracają się w te słowa do Publjusza Wergiliusza Marona, nie miano na myśli autora „Eneidy" ani „Georgik", lecz twórcę słynnej IV Eklogi, p. t. *„Pollio"*.

Jest ona najbardziej znaną ze wszystkich Bukolik mantuańskiego wieszcza, a budzi najwięcej zagadek i problemów. Poświęcone Pollionowi, za jego konsulatu w r. 40, odbiega prawie zupełnie od nastroju i charakteru sielanki*); poeta wzywa na początku Muzy sycylijskie do wyższej, górniejszej pieśni:

„Sicilides Músae, poullo maiora canamus".

Dawne proroctwa się sprawdzają i nowy wiek teraz nastanie; za konsulatu Polliona narodzi się cudowne dziecię, które będzie ozdobą swych czasów, z bogami się zrówna i zapanuje nad światem uspokojonym przez ojca swojego zasługi; kwiaty słać się będą przed jego kolebką, dęby miód sączyć, zwierzęta dzikie przestaną być groźnemi. Ale jeszcze na razie zgubne dziedzictwo przeszłych pokoleń zakłócać będzie błogość tych czasów. Gdy jednak owo pacholę wyrośnie na męża, znikną pozostałości dawnych żelaznych czasów, i zapanuje wiek złoty, w którym ziemia bez znoju i pracy wszystkiego ludziom dostarczy. Apostrofą do spodziewanego *puer*, aby przyszedł na świat i uśmiechem swoim rozjaśnił rodziców oblicze, kończy się ta pieśń pełna tajemnic i rojeń proroczych.

Oto krótkie streszczenie IV-ej Eklogi.

Uczony Dom Gueranger, benedyktyn, komentując officium II-ej niedzieli Adwentu w swoim „Roku liturgicznym"**) zestawia

---

*) Cf. prof. K. Morawskiego „Vergilius i Horatius", str. 58.

**) T. I-y, str. 158, wydanie polskie zaczęło wychodzić niedawno, obecnie drukuje się III-ci tom, staraniem X. Świetlickiego i X. H. Nowackiego.

ten utwór pogańskiego wieszcza z lekcjami I-go Nokturnu, wziętemi z Izajasza, rozdz. XI:

„Będzie mieszkał wilk z jagnięciem, a pard z koźlęciem legać będzie; cielę i lew i owca pospołu mieszkać będą, a dziecię małe pędzić je będzie. Cielę i niedźwiedź będą się paść; społem legać będą szczenięta ich, a lew jako wół plewy będzie jadał. I będzie igrało dzieciątko od piersi nad dziurą żmijową, a odchowałe dziecię do jamy bazyliszkowej wpuści rękę swoją. Nie będą szkodzić ani zabijać po wszystkiej Górze świętej mojej: bo napełniona jest ziemia znajomości Pańskiej, jako wody morskie pokrywające".

„Radujmy się, ciągnie dalej opat z Solesmes, z cudownej zapowiedzi Proroka co do błogiej szczęśliwości i zgody, które zapanują na Górze świętej. Od tylu stuleci świat wzdychał za pokojem, — oto nadchodzi! Grzech zrodził niezgodę i zamęt, łaska wniesie ukojenie. Chrystus-Dziecię stanie się zadatkiem przymierza Bożego z ludzkością.

„Prorocy Izraela przepowiadali Go, Sybilla o Nim prorokowała, a w dumnym Rzymie, jeszcze spowitym w gęste mroki pogaństwa, największy z wieszczów łacińskich, echo starożytnych tradycji, zanucił ową sławną pieśń, w której śpiewa:

„Ostatnia era, oznajmiona wyrocznią Kumejską, już nadchodzi. Nowe potomstwo zstępuje z wyżyn niebiańskich. Trzody lękać się już nie będą lwów srogich. Zginie pospołu i wąż złośliwy i moc szkodliwa roślinom trującym odjętą będzie:

Ultima Cumae i venit iam carminis aetas...
Iam nova progenies caelo demittitur alta...
...Aec magnos metuunt armenta leones...
Occidet et serpens, et fallax herba veneni
Occidet..."

Krytyka wolnomyślna usiłuje zburzyć „legendę mesjaniczną" Wergiliusza, starając się dowieść, że IV-ta Ekloga jest utworem allegorycznym, zbliżonym do poezji grecko-żydowskich i wróżb Sybillińskich; że poeta musiał znać Księgi hebrajskie, któremi ówczesny Rzym z ciekawością się zajmował, bo „baśnie wschodnie" zaczynały być modnemi w stolicy. Lecz, że mówiąc o cudownem dziecięciu myślał poprostu o synu konsula Polliona, albo o oczekiwanym wówczas potomku Augusta.

„Lecz jakiż ród czy dom, pyta nieodżałowany prof. Kazi-

mierz Morawski*), mógł wtedy sobie rościć prawo i żywić nadzieję, iż z niego wyjdzie zbawca ludzkości?—Poeta zwrócił się do Polliona, stąd poszło, że syn tegoż, mało zresztą znaczący Asinius Gallus, według świadectwa Asconiusa Pedianiusa twierdził, następnie iż to jego urodziny witał Wergilius w sposób tak uroczysty. Ale te przechwałki nas nie przekonają; poeta nigdy nie nazywa Polliona ojcem spodziewanego dziecka, a znaczenie i ród konsula nie były przecież do tego stopnia wielkiemi, żeby aż uprawniały poetę do wyrażeń tak pochlebnych, do nadziei tak górnych".

Ta więc hipoteza upadła. A może mowa o potomku Augusta? — Oktawian był adoptowanym synem przyjętego w poczet bogów Juljusza Cezara; sam Wergiliusz w I-ej Eklodze nie poskąpił mu tytułu deus. „W jesieni r. 40 przed Chr., mówi dalej K. Morcwski, przyszło między Oktawianem a Antonjuszem do traktatu w Brundisium, który się wydawał zapowiedzią długotrwałego pokoju i błogości. Antonjusz, owdowiały po Tulwji, pojął wtedy za żonę wdowę Oktawię, siostrę Oktawjana. Ten ostatni, który zawsze hasła pokojowe wygłaszał, wydawał się głównym sprawcą układu, uwieńczonego błogosławionym skutkiem".

Czyż na nim i na jego domu, na rodzie Julijskim, oparły się promienie Wergiljusza i jego współczesnych nadzieje?

Oktawjan pojął był za żonę Scribonię, która w r. 40 spodziewała się potomstwa. Ale Scribonia powiła niebawem córkę, osławioną później Julję, nie zaś upragnionego syna. Czyż Wergiljusz, śpiewając in incertum sexus eventum, a zawiódłszy się tak bardzo w swych szumnych nadziejach, byłby włączył ten chybiony utwór do zbioru swoich Bukolik?

„Przeczytałem prawie wszystkie komentarze do IV-ej Eklogi, pisze uczony Firmin Didot, w swoim komentarzu do Bukolik, usiłując dociec, o jakiem to tajemniczem dziecięciu myslał Wergiljusz. Ale dołożywszy wiele starań i straciwszy wiele czasu, znalazłem się nakoniec w tej samej co na początku niepewności".

Toby się napewno i nam przydarzyło. Dlatego wolimy iść za taką powagą jak August Nicoles**), który twierdzi, że poeta

---

*) loco cit, p. 60—61.

**) „Etudes philosophiques sur le Christianisme", t. II, p. 173 itd.

opiera się w tym utworze na starodawnem podaniu o przyjściu obiecanego Zbawcy. Przywodzi na dowód wyrocznię Sybilli Kumejskiej, o której i Cyceron wspomina**), mówiąc że oczekiwano króla, władcę powszechnego, którego trzeba będzie uznać „si salvi esse vellemus". Wszyscy komentatorzy Wergiljusza zgadzają się na to, że on właśnie te tradycje odwieczne zastosował do swego bohatera, lecz nie zgadzają się z tem, kim ów bohater jest. Sama przesadność hiperboliczna wyrażeń poety nie da się zastosować do narodzin zwykłego śmiertelnika, nawet wysokiego rodu. Proszę zauważyć: wszystko co mówi, wychodzi poza granice imperium rzymskiego, a nawet wydarzeń często ludzkich, obejmując świat w swojej powszechności: „Terras", — „toto mundo", — „orbem" itd. Narodziny zagadkowego dziecięcia poruszają w szczególności samo Niebo, i wskazują na powszechne odrodzenie całego stworzenia; a, — co warto podkreślić, bo to wprost niesłychane na owe czasy, — odnowienie to ma się dokonać bez walki i przemocy, jedynie słodyczą, pokojem i mocą Bożą,—czyli właśnie w ten sposób, jakiego niebawem miał użyć boski nasz Zbawiciel, Jezus Chrystus.

Wergiljusz powraca kilkakrotnie do tej okoliczności, że narodzenie tego dziecięcia, syna Dziewicy, rozpocznie erę nową:

„Incipient *magni* procedere *menses"*...
„*Talia saecla"*, suis dixerunt (Tarcae) „currite fusis..."
„Adspice, *venturo* laetantur ut omnia *saeclo!"*

Wiek żelazny skończy się, a wiek złoty powróci na ziemię:

„. . . Ferrea primum
Desinet, ac toto surget gens aurea mundo".

Jeżeli jeszcze pozostaną niektóre skutki naszych nieprawości:

„...Si qua manent sceleris vestigia nostri,
Irrita perpetua solvent formidine terras",

cała ziemia odetchnie, uwolniona od tego lęku, który ją od tak dawna przytłaczał.

Ten, przez którego spełnią się te dziwy, zrodzi się z łona Bóstwa; wzniesie się ponad wszystkich mieszkańców nieba, i rządzić będzie uspokojonym światem przez władzę ojcowską:

**) „De Divinatione", lib. II. cap. 54.

„Ille deum vitam accipiet divisque videbit
Permixtes hereas, et ipse videbitur illis;
Pacatumque regat patriis virtutibus orbem".

Tu następuje wspaniały opis tego świata uspokojonego, rządzonego przez Syna Bożego, opis który przypomina z jednej strony znany każdemu gimnaziście ustęp o „Złotym Wieku" Owidjusza:

„Aurea prima sata est aetas..."

a z drugiej przytoczony na początku XI rozdział Izajasza.

Tu się nasuwa uwaga: nie ulega wątpliwości, że pisma proroków hebrajskich miały decydujący wpływ na IV-tą Eklogę. Wedle Flawjusza Józefa Żydowina*) bowiem Herod Wielki przybył do rzymu w. r. 40, czyli właśnie wtedy, kiedy utwór ten powstał, i zamieszkał w pałacu przyjaciela swego Polliona, dobrze znanego Wergiljuszowi, Polliona którego imię widnieje w nagłówku Eklogi. Jakże wątpić, że tak bliski stosunek z królem żydowskim tak bardzo zajętym oczekiwaniem bliskiego Mesjasza, musiał się odbić na utworze rzymskiego wieszcza, dał mu ten specjalny koloryt i tę cechę aktualności, która nas w nim uderza i od innych sielanek go odróżnia?

„Przybywaj, o drogi potomku niebios, wielki synu Jowisza", woła w natchnieniu Łabędź Mantuański, — „oto czas przepowiedziany się zbliża. Przyjdź objąć wielkie zaszczyty, jakie ci się należą. Spójrz: oto wszechświat na twój widok chwieje się w posadach, krańce ziemi i drogi morskie i niebo wysokie wzruszają się; wszystko drży z radości na widok nowej ery, która się otwiera:

„Aggredere, o magnes, aderit iam tempus, honores,
Cara deum soboles, magnum Jovis incrementum.
Adspice convexo nutantem pondere mundum,
Verasque tractusque maris coelumque profundum;
Adspice venturo lactantur ut omnia seclo". **)

---

*) Antiquitates, l. XVI. cap. 25, l. XV. cap. 13.

**) Ostatnie te 3 wiersze uderzają podobieństwem do słów Aggeusza proroka (II. 7 - 8.): „Jeszcze jedna mała chwila jest, a ja poruszę niebo i ziemię, i morze i suchą. I poruszę wszystkie narody: a przyjdzie pożądany wszem narodom, mówi Pan zastępów".

Wobec tego trudno nie przyznać słuszności Augustowi Nicolas, który mówi:

„Wszystkie te wspaniałe wyrażenia poety, które w zastosowaniu do śmiertelnego człowieka byłyby śmieszną emfazą, jakby zbroją olbrzyma nałożoną na barki słabego dziecka, — stają się proste zrozumiałe, doskonale dostosowane, skoro się je zastosuje do Jezusa Chrystusa, Przedziwnego, Boga mocnego, Ojca przyszłego wieku, jak go nazywa Izajasz IX. 6. — On to spełnił wszystkie dawne przepowiednie; mocą z nieba odrodził ziemię, zastąpił przesądy ciemnego pogaństwa religją ufności i miłości, zmył niepewność grzesznej ludzkości, i oswobodziwszy ją z jarzma bojaźni, nauczył modlić się słowy: *„Ojcze nasz"*.

Zamiast się ze współczesną krytyką dopatrywać w tej mesjanicznej eklodze wpływów egipskich, orfejskich, etruskich, wpływów Platona i Pitagorasa, zawołajmy ze św. Augustynem: „Do kogóż innego, jeśli nie do Chrystusa, mogły być zwrócone te słowa?"

Nikogo zatem nie powinno zadziwić, że na Soborze Nicejskim w 325 r. Konstantyn Wielki nie zawahał się oprzeć swoich dowodów boskości chrześcijaństwa między innemi i na autorytecie twórcy IV-ej Eklogi. Dante zaś, biorąc go za przewodnika w wędrówce swej po krainach zaświata, był tylko wyrazicielem ogólnie rozpowszechnionej opinji, że Wergiljusz jest poetą mesjanicznym, i „przyświeca wnukom swoim pochodnią, którą sam nie jest oświetlony". (Purgatoreo).

Wergiljusz umarł 21-go września roku 19 przed Chr. w 51-ym roku życia. Nie było mu danem oglądać własnemi oczyma tego Mesjasza, którego opiewał:

„O mihi tum longae mancat pars ultima vitae,
Spiritus et quantum sat erit tua dicere fata...
Parve puer..."

Dopiero w lat 19 po jego zgonie miała się urzeczywistnić w stajence Betleemskiej radosna przepowiednia Izajasza: „Puer natus est nobis et Filius datus est nobis". Pogaństwo wschodnie, w osobie Trzech Króli, złożyło u stóp Bożej Dzieciny złoto kadzidło i mirę; Zachód, reprezentowany przez największego wieszcza światowego Rzymu, ofiarował Nowonarodzonemu IV-tą Eklogę.

Stara legenda*) opowiada, że gdy św. Paweł, wylądował w Italji niedaleko Neapolu, pokazano mu na Pauzylipie grób Wirgiljusza (dziś jeszcze można oglądać tam kamień grobowy, ocieniony stałem drzewem laurowem, z którego turyści zrywają po listku na pamiątkę). Wielki Apostoł miał zalać się łzami wołając: „O największy z poetów, jak wielkim byłbym cię uczynił (przez Chrzest św.) gdybym cię był zastał żywego!”

Ad Maronis mausoleum
Ductus, fudit super eum.
Piae rorem lacrimae
„Quem te, inquit, reddidissem,
Si te vivum invenissem,
Poetarum maxime.

S. R.

Dzwony.

W okolicy zwano go Czarnym Urbanem.

Był to barczysty silny chłop, średniego wzrostu, lat trzydziestu paru, o smagłej i pociągłej twarzy, o dużych wyrazistych piwnych oczach ciągle niespokojnie poruszających się i tak czarnej kędzierzawej czuprynie, że patrząc na niego zdawało się — to koczujący cygan z zapalczywym wyrazem spojrzenia.

Urban pędził żywot zdeklarowanego hulaki.

W pobliżu miasteczka pracował jako strycharz w polowej cegielni, wodząc rej między towarzyszami pracy, którzy widzieli w nim przewodnika nocnej włóczęgi i zawadyjakę częstych awantur w okolicy lub miejscowej karczmie.

Mijały dnie. Urban nasyciwszy się przyjaciółmi kieliszka zostawał sam. Ogarniała go wówczas nieprzeparta chęć samotności. W pracy stawał się małomówny, opryskliwy, wyznaczoną robotę wykonywał niechętnie i oczekiwał dzwonka skończonych zajęć, by później siedząc w kącie karczmy pić do późnej nocy, póki zupełnie pijanego nie wyrzucono go za drzwi. Wówczas taczając się siadał na przydrożnym kamieniu lub pod drzewem, coś mówił do siebie, aż zasnął. Tak napół trzeźwego zastawał go niejeden letni poranek, kiedy idący do pracy strycharze za-

---

*) Przytoczona przez L. H. Morstina: „W kraju Latynów”.

uważywszy go mówili między sobą: „Urbana znowóż coś napadło, że ludzi unika i pije". Niezdającego sobie jeszcze sprawy o co chodzi i co do niego mówią zabierali Urbana do cegielni. Zmęczony po nieprzespanej nocy nie mógł normalnie pracować, tylko groźba wydalenia zmuszała go do wysiłku, by dorównać innym.

Nadeszła pora fajerantowa. Towarzysze kieliszka ciągnęli go do miasteczka, lecz nie chciał, chciał zostać sam, by zgnębić gniotącą go apatję przeżytych dni, ból jego duszy, której nie rozumiał, lecz czuł, dlatego, że go coś cisło moralnie. Nie pomagały samotne przechadzki i ucieczka od ludzi, do których jednak musiał wrócić, nie znalazłszy spokoju i zadowolenia, by nanowo rzucić się w wir pijatyki i nocnej włóczęgi.

Urban był sam. Nie miał bratniej duszy, która by jemu szczerze współczuła, jemu człowiekowi bez celu, chylącemu się z każdym dniem w otchłań przepaści.

* * *

Na drodze było pusto. Leżący opodal cmentarz malował szare tło smutku rysujących się z poza murów strzelisto wysuniętych krzyży, tworząc odbicie naprzeciw rozpostartych łąk, nad któremi zrzadka owianemi kłębami wznosiła się mgła. Zdala czerniała zwężająca się wstęga otaczającego lasu, którego tło wycinało nierówną granicę błękitu nieba gęsto posianego gwiazdami. Dokoła panowała cisza. Tylko od czasu do czasu dał się odczuć łagodny powiew wiatru lekko kołyszącego liśćmi przydrożnych drzew ciągnących się długim obustronnym szpalerem, gdzieś ginącym w oddali zapadającej nocy. Samotny Urban kroczył powoli drogą wiodącą w stronę cmentarza, coś mówił do siebie, gestykulował, to rzucił raptem wyrazy przekleństwa jakby złorzecząc komuś, aż doszedłszy do cmentarnej bramy po niejakimś czasie zniknął.

Budził się letni poranek. Zamglona tarcza słoneczna rozsiewała leniwie ciepłe promienie, ogrzewając ziemską powłokę, której tło stawało się coraz jaśniejsze, zwiastując tem samem nowy dzień życia. Tylko wnętrze cmentarza owiane śpiącą martwotą rozściełało obraz tu i owdzie porozrzucanych grobów, wśród krzyżujących się alej do miejsc wiecznego spoczynku.

Słońce wzbijało się coraz wyżej nasycając powietrze ożywczym tchnieniem ciepła dodającego naturze cząstkę życia w szarej pustce cmentarza pogrążonego w nieprzerwanej ciszy,

gdy uderzył dzwon pobliskiego kościoła, niosąc echem poprzez fale atmosfery rytmiczne dźwięki ginące hen w przestrzeni, na odgłos których zbudził się i śpiący Urban.

Zdziwionym wzrokiem rozejrzał się dokoła, po chwili wstał, usiadł na ławeczce przy grobie i wsparłszy głowę na dłoniach myślał:

„Naostatek przyszło mi tu nocować między zmarłemi, a przecież mam własny kąt między ludźmi, lecz po co do nich pójdę, by patrzyli się na mnie, mnie wyrzuconego z roboty? Czy potom by nie poznali mnie ci z któremi piłem razem? Nie, to jest podłość, to nędzna obłuda ludzka", buntował się rozgoryczony Urban przeciwko sobie i światu, a odgłos dzwonu kościelnego donośnie snuł monotonję melodji, ze skargą jego duszy przed tron Najwyższego i kołysaniem swoim niósł myśli coraz dalej do minionych chwil dzieciństwa, kiedy przy boku matki swawolny i beztroski, skarżył się jej, skarcony za lada błache przewinienie między rówieśnikami, a dziś....

„Urban co ty tu robisz na cmentarzu, pochowałeś kogo czy co, że tak siedzisz?"

Urban podniósł głowę, spojrzał na przybysza i nic nie odpowiedział, tylko machnął beznadziejnie ręką i wrócił do pierwotnej pozycji.

„Co ci jest, czemu nie idziesz do roboty?"

„Nie idę—odezwał się Urban — bo mnie wyrzucili, a mam się prosić, nie chcę, wolę zmarnieć, zginąć, lecz do nich nie pójdę".

„Urban nie martw się, będzie dobrze. Jesteś zdrów, silny, nic nie robisz teraz, chodź pomożesz mi lepiej grób kopać—mówił grabarz".

Urban wziął łopatę i niepewnym krokiem szedł do miejsca, gdzie mieli kopać. Naznaczony grób pogłębiał się stopniowo, a oni wyrzucali łopaty ziemi w milczeniu, wreszcie pierwszy odezwał się Urban:

„Masz rację żeś mi dał łopatę, wykopię przynajmniej grób dla siebie, bo co mi dziś pozostaje, chyba tylko ta ziemia jedna, zakończył".

„Chłopie co ci jest, co się z tobą stało, żeś taki markotny na wszystko? Wiem, za wódkę wyrzucili cię z cegielni i przez to powiesić się chcesz? Niemasz ty chyba Boga w sercu, że tak mówisz, sameś sobie winien, lecz tu nie trzeba rozpaczać

tylko rzucić to wszystko do djabła, wziąć się za robotę i jakoś pójdzie—zachęcał dobrotliwie grabarz". I kopali dalej.

„Gotowe!" powiedział grabarz wychodząc z wykopanego dołu. Pójdziemy teraz do chałupy. Matka coś zjeść przyszykuje, a ja wpadnę na plebanję — ciągnął grabarz, otrzepując zapiaszczone ubranie i po chwili wyszli z cmentarza.

Siwy ksiądz staruszek spojrzał na wchodzącego grabarza i zapytał: „Cóż, wykopaliście grób".

„Tak, proszę księdza proboszcza, tylko proszę dobrodzieja, ksiądz go zna, Czarnego Urbana, jego wczoraj wyrzucili z roboty i dzisiaj rano zastałem go na cmentarzu, jak medytował by się powiesić. Nie dałem mu. Namówiłem, kopaliśmy razem grób ten stalowany i zabrałem go do chałupy. Może ksiądz dobrodziej mu coś poradzi, niema z czego żyć. Nie będzie się tłukł po ludziach i będzie co z niego, dowodził tonem prostym grabarz".

„To zobaczymy jeszcze, tylko przyprowadź go jutro" odpowiedział starowina wychodząc.

Następnego dnia Urban z grabarzem udali się do księdza. Po drodze jakiś nieswój, szedł nieśmiałym krokiem, jakby się bał czegoś. Ksiądz był w zakrystji i widząc zmieszanego Urbana jakby dla zachęty odezwał się:

„To wy Urbanie kopaliście razem grób? Słyszałem, że nie macie roboty, otóż znajdzie się u mnie robota w ogrodzie przy plebanji. Pokaże wam co macie robić i będziecie mieli zajęcie.

Rozległe wnętrze ogrodu wśród ciszy zapadającej szarówki dnia mieniło się w różnorodnych barwach kwiatów i roślin między czeredą owocowych drzew łaczyło się w jedną malowniczą całość z obieloną w głębi plebanją. Zadzwoniono na Anioł Pański. Urban oderwał się od roboty. Zdjął czapkę i słuchał biegnąc myślą, jakto wczoraj jeszcze siedział na cmentarzu między grobami, jak chciał sobie życie odebrać, a dziś wśród ciszy, wśród kwiatów dokoła zdaje się innym być, nawet głos tego dzwonu wydawał się łagodniejszym, że chciałoby się żyć długo, wiecznie.

*
* *

W kilka lat później ktoś jadący drogą, prowadzącą do wsi w stronę kościoła, zauważył stojącą na uboczu zagrodę wiejską, w której pośród bawiących się dzieci krzątało się dwoje ludzi. Był to Urban z rodziną na swojej chudobie. *J. Zamulewicz.*

Z RUCHU ODRODZENIOWEGO.

Chrystus.

Wśród gwaru miasta, ulicą tłumną,
Gdzie wszędzie zbytku napotkasz ślady,
Gdzię szatan wznosi swą głowę dumną —
Szedł Chrystus cichy, smutny i blady.
W spelunkach jaskiń czyha rozpusta,
Tam czarne zbrodnie społem się gnieżdżą.
Umalowane śmieją się usta,
Pijane głosy bezwstydnie wrzeszczą...
Umalowane śmieją się usta,
Wyzywające mówią coś oczy...
O, jakże droga ta ciężka, pusta
Już ze stóp świętych krew żywa broczy...
Rzęsistem światłem nęcą wystawy,
W kawiarniach modnych grają jazdbandy.
Chrystus wciąż idzie — za Nim ślad krwawy
Już płaszcz Mu z ramion spada wytarty..
Ulicą ciemną, w łachman odziana
Sunie się postać w głodu męczarniach.
To nędzarz, brat tych, co tam, w kawiarniach,
Pieniądz swój pławią w morzu szampana...
Na giełdzie życia idą afery
Ciemne jak czeluść samego piekła,
Na ustach ludzi brzmi śmiech nieszczery —
O, jakże droga ta jest rozwlekła...
Z chciwością pieniądz chwytają dłonie,
Nieraz go biedak z pod serca wyjmie —
Potem się perlą Chrystusa skronie...
Kto strudzonego w dom Go swój przyjmie?...
Długa i krwawa droga Żywota...
Siność śmiertelna pokryła wargi,
A w oczach Zbawcy smutku golgota,
Choć z ust nie słychać żałosnej skargi.
Ludzie niewdzięczni! Spójrzcie!... Krwią broczy!...
Czyż serce wasze z bólu nie pęka?!...
Macież wy śmiałość spojrzeć w te oczy,
W te oczy słodkie, w których łka męka?!...
Kto Go nakarmi?! Kto Go napoi?
Kto spać ułoży śród polne maki?...
Kto ból serdecznem słowem ukoi,
Kto Go przebłaga — czy będzie taki?...

Halina Litwinowiczówna.

VIII Tydzień Społeczny „Odrodzenia" w Lublinie.

Tygodnie Społeczne „Odrodzenia" w Lublinie są już dzisiaj instytucją stałą, która wyrobiła sobie odpowiednią opinję wśród inteligencji katolickiej, zarówno duchownej, jak i świeckiej. Jest to kuźnica myśli katolicko - społecznej w Polsce. Rok rocznie w końcu sierpnia zjeżdża się w gościnnych murach Uniwersytetu Katolickiego w Lublinie kilkaset młodych katolików (mężczyzn i kobiet), którzy w ciągu całego tygodnia w głębokiej atmosferze stałych i systematycznych praktyk religijnych (Komunja św., msza św. Gregorjańska) kształcą swój umysł pod kierownictwem wytrawnych profesorów i działaczy. To też jeszcze raz należy podkreślić wybitną zasługę tych założycieli Ruchu Odrodzeniowego, którzy ośm lat temu zapoczątkowali tygodnie społeczne, oraz władz i poszczególnych profesorów Uniwersytetu Katolickiego, jak również tych przedstawicieli społeczeństwa lubelskiego, którzy stale udzielają tygodniom swej pomocy moralnej czy materjalnej.

Zagadnienia poruszone na VIII Tygodniu Społecznym dzielimy na pięć wyraźnie odcinających się działów: 1) zagadnienia religijno-filozoficzne, 2) zag. akcji katolickiej, 3) społeczno-gospodarcze. 4) naród, państwo i nacjonalizm, 5) sprawy organizacyjne Ruchu Odrodzeniowego.

Na pierwszą kategorję złożyły się wykłady J. M. ks. prof. J. Kruszyńskiego, Rektora Uniwersytetu Lubelsk. — Chrystus Król Powszechny, ks. dr. J. Pastuszki — Uniwersalizm i objektywizm u podstaw myśli katolickiej i ks. Dr. K. Kowalewskiego — Wpływ filozofji tomistycznej na współczesne odrodzenie katolickie. Roztoczyły one przed słuchaczami bogaty obraz fundamentalnych zasad filozofji katolickiej, opartych na odrodzonej i dostosowanej do czasów dzisiejszych doktrynie św. Tomasza z Akwinu i były niewątpliwie dla wielu poważną zachętą do studjów naukowych w tym kierunku. Uzupełnieniem wykładów w dziedzinie filozofji katolickiej były codzienne konferencje religijne wieczorem w kaplicy uniwersyteckiej.

Referat o Akcji Katolickiej wygłosił ks. Prałat Stanisław Adamski z Poznania, rzucając snop światła na to zagadnienie,

tak surowe jeszcze na gruncie polskim i pod wieloma względami nie wyjaśnione. Prelegent, przedstawiając właściwości, które winny cechować akcję katolicką, porównywał ją do armji stałej Kościoła, armji regularnej. Poza akcją katolicką mogą istnieć i powinny istnieć organizacje katolików, mające specjalne swoje zadania, lecz będzie to już nie armja regularna, lecz jakby pospolite ruszenie, czy też partyzantka. Ogromna dyskusja, która rozwinęła się nad referatem, świadczyła o wielkiem zainteresowaniu wśród uczestników kursu dla tego zagadnienia. Wśród poglądów, które w niej wyrażono, następujące wydają mi się najważniejsze: 1) Akcja katolicka musi być w ten sposób zorganizowana, aby utrzymując w się ramach wskazań Kościoła, nie krępowała jednakże swobodnej inicjatywy i ekspansji poszczególnych organizacji katolickich, zadaniem jej bowiem jest wzmóc działalność i rozrost tych organizacyj za pomocą apostolstwa i życia religijnego, a nie zniwelować je lub pochłonąć. 2) Akcja katolicka jest apolityczna i apartyjna, tem nie mniej wszakże wobec grożącego w Polsce zamachu na instytucje życia katolickiego, stanowić ona winna na gruncie naszym najistotniejszy i najgłębszy ośrodek, przygotowujący obronę katolicyzmu przed zakusami wrogów, w ten, czy w inny sposób zorganizowany i związany z życiem publicznym kraju. Podczas dyskusji podkreślano kilkakrotnie, że „Odrodzenie" z natury swoich celów i zadań jest akcją katolicką.

Zagadnień społeczno - gospodarczych dotyczyły referaty: Dr. Karola Górskiego — Sprawiedliwość i miłość w życiu społecznem, Dr. Ignacego Czumy — Korporacyjna budowa społeczeństwa Ks. Dr. Antoniego Szymańskiego — Etatyzm a wolność gospodarcza i Dr. Adama Heydla—Dążności etatystyczne w Polsce współczesnej. Należy wyrazić żal, że nie doszły do skutku zapowiedziane przez program kursu referaty: Znaczenie i godność pracy zawodowej w nauce chrześcijańskiej i Organizacja mas, czy wychowanie elity. Mamy jednak nadzieję, że tematy te tak ciekawe i ważne dla życia społecznego Polski — znajdą się w programie tygodnia następnego. Zagadnienie etatyzmu wywołało dość żywą dyskusję, podczas której starły się poglądy liberalne, reprezentowane przez prof. Heydla z panującą na kursie doktryną chrześcijańsko - społeczną, której teoretyczne uzasadnienie dał w swoim referacie ks. prof. Szymański. Pod-

kreślano w dyskusji, że ideałem polityki gospodarczej nie jest ani skrajny liberalizm, który prowadzi do wyzysku pod względem socjalnym, ani etatyzm, krępujący inicjatywę prywatną, lecz system chrześcijańsko-społeczny, uwzględniający zarówno zasady wolności, jak i sprawiedliwości.

Przechodzimy do czwartego działu, na który się złożyły wykłady O. Dr. J. Woronieckiego—Naród, państwo i państwo narodowe w świetle nauki chrześcijańskiej i obowiązki oraz prawa państwa narodowego wobec mniejszości narodowościowych. Uzupełnieniem tego tematu były referaty: red. St. Sopickiego—Pacyfizm a katolicy i p. P. Skwarczyńskiego—Ustawodawstwo mniejszościowe w Polsce. Wreszcie tematy traktujące o innych zagadnieniach, choć z działem tym związane: p. Tadeusza Błażejewicza, honorowego prezesa Senjoratu—Wpływ psychiki polskiej na rozwój dziejowy Polski i p. Dr. Morawskiego — Posłannictwo dziejowe Polski.

Najbardziej ożywioną dyskusję wywołało zagadnienie narodu, państwa i nacjonalizmu. O. Jacek Woroniecki w wywodach swoich stanął na stanowisku państwa narodowego, potępiając jednakże w sposób zdecydowany wszelkie wybryki szowinizmu, sprzeczne z etyką chrześcijańską. Dyskusja, poza ciekawemi bardzo momentami, w których omawiano z punktu widzenia czysto teoretycznego stosunek narodu do państwa—dała wyraźne podkreślenie stanowiska narodowego „Odrodzenia" przy równoczesnym przeciwstawieniu się zasadom integralnego nacjonalizmu, takiego, jakim pojmuje go potępiona przez Rzym — „L'Action Franaaisé" t. j. nacjonalizmu pogańskiego. Jest faktem nadzwyczaj charakterystycznym i trochę zabawnym że pewien dziennikarz miejscowy, współpracownik sanacyjnej „Ziemi Lubelskiej", przysłuchawszy się niektórym urywkom dyskusji, uważał za stosowne na łamach swego pisma wziąć w obronę nacjonalizm przed uniwersalizmem katolickim, reprezentowanym przez O. J. Woronieckiego. Poczciwiec, nawet nie przypuszcza, jaką rolę wziął na siebie i kto jeszcze przed kilkoma laty prowadził z Odrodzeniem homeryczne boje o nacjonalizm pogański..

Pod koniec kursu prezes „Odrodzenia" akademickiego K. Malko wygłosił referat p. t.: W obliczu 10-lecia, w którym zobrazował działalność „Odrodzenia" w latach ostatnich i oma-

wiał plany pracy na przyszłość w związku ze zbliżającym się Kongresem Ruchu Odrodzeniowego.

Referat ten był punktem wyjścia do obrad organizacyjnych, które toczyły się dwa dni po zakończeniu kursu w gronie Senjorów „Odrodzenia" i przedstawicieli poszczególnych środowisk akademickich. Załatwiono szereg spraw, związanych z Kongresem, który odbędzie się 17 listopada r. b. w Warszawie.

Na tygodniu społecznym było obecne liczne grono dostojników Kościoła i działaczy katolickich. Wymienimy w pierwszym rzędzie Ich Ekscelencje Księży Biskupów Fulmana, Jełowickiego i Kubinę, którzy błogosławili pracom „Odrodzenia", raczyli przebywać z uczestnikami kursu dłużej, niż zwykle zagrzewając ich do gorliwości swoimi przemówieniami. Słowa ich ważkie i gorące zapadły głęboko w dusze uczestników tygodnia.

Po raz pierwszy byli na kursie przedstawiciele katolickiej młodzieży słowiańskiej, a mianowicie delegaci Ustredie Katolickeho Studentstva z Pragi, podejmowani serdecznie przez kierownictwo tygodnia, brali żywy udział w jego pracach i obradach. Przybyli również na kilka dni do Lublina trzej studenci francuscy i jedna francuska z Union pour la France pod przewodnictwem ks. Guinchard.

Ostatni tydzień społeczny zaznaczył się również tem, że po raz pierwszy wzięli w nim udział przedstawiciele Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie", którzy w liczbie kilkunastu przybyli na kurs i brali czynny udział w pracach tygodnia. W ten sposób była obecna w Lublinie cała rodzina Odrodzeniowa: senjorzy, akademicy i młodzież pracująca—zjednoczeni pod jednym wspólnym sztandarem katolicyzmu społecznego.

Nietylko Polska, ale już i zagranica interesuje się tygodniami społecznymi w Lublinie. Spełniły one jak dotychczas poważne zadanie, wychowując szereg roczników młodzieży w duchu zasad katolickich. Zadanie to nie skończone. Tygodnie społeczne w Lublinie trwać będą — daj Boże — długie lata i staną się z czasem chlubną kartą w życiu Polski katolickiej.

(*s. k.*).

Wycieczka na Powszechną Wystawę Krajową do Poznania.

W dn. 13, 14 i 15 września zwiedzała Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu wycieczka, zorganizowana przez Centralny Komitet Wykonawczy Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie", w której wzięło udział kilkadziesiąt osób z kół Warszawskiego i Pruszkowskiego „Odrodzenia", jak również ze Stow. Rob. Chrześcijańskich i Chrz. Zw. Zawodowych z Warszawy, Góry Kalwarji i Grodziska.

Wycieczka zwiedziła poszczególne pawilony P. W. K., zatrzymując się dłużej na eksponatach, dotyczących oświaty robotniczej. Dokonano również szeregu zdjęć fotograficznych, zwiedzano zabytki m. Poznania i udano się wspólnie na przedstawienie do Teatru Polskiego i Opery.

W miłym, koleżeńskim nastroju wycieczka powróciła do Warszawy w dn. 15 września rano, aby uczestnicy mogli udać się do pracy.

Kierownictwo nad techniczno-organizacyjną stroną wycieczki sprawował sekretarz C. K. W. kol. Fr. Kwasiborski.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Ks. profesor Paweł Styger: **Rotunda świętych Feliksa i Adaukta na Wawelu.** Mauzoleum z pierwszych czasów chrześcijaństwa w Polsce. Warszawa, 1929, Nakładem Wydawnictwa Domu Prasy Katolickiej. Str. 24 Cena 1 zł.

Odkopana w 1917 r. rotunda na Wawelu budziła w ciągu dziesiątka z okładem lat najrozmaitsze domysły, mające na celu wyjaśnienie, jakim to mianowicie celom służyła po wybudowaniu przed wiekami. Jedni mieli ją za świątynię pogańską, drudzy za baptyserjum, inni jeszcze za pierwszą katedrę krakowską, a więc opinje były sprzeczne, zagadkę tę przeto postanowił rozwiązać jeszcze raz ksiądz profesor Paweł Styger. Zdaniem jego, mamy tutaj do czynienia z rotundą grobową, jaką na wzór zagranicy wznieśli sobie jacyś wielmoże.

Rzecz ta napisana jest z sumiennością prawdziwego uczonego, przytoczony został obfity materjał, na podstawie którego autor wyciąga wnioski, wskutek czego czytelnik pozostaje przez czas czytania pod silną jego sugestją, i na wywody jego niesposób nie zgodzić się. Sąd ostateczny o tej pracy należy do specjalistów, od siebie tylko dodać muszę, że z zainteresowaniem przeczyta broszurę tę każdy inteligent, którego ciekawią kwestje z zakresu archeologji czy sztuki.

J. M. Ch.

S. Kamieński: **Jak bolszewicy uszczęśliwili Rosję!** Płock—Warszawa, 1929, („Dobra Prasa", serja „B", № 9). Str. 16. Cena 25 gr.

Jak wszystkie inne prace S. Kamieńskiego, tak i ta posiada pierwszorzędne walory propagandowe, a że jest oparta na autentycznych źródłach bolszewickich, wykazujących mimowoli ruinę gospodarczą państwa bolszewików, zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie zwłaszcza w sferach robotniczych. Sposób wykładu w broszurce jest świetny, jedno wypływa z drugiego, uszeregowanie faktów pomyślane głęboko, wskutek czego autorowi, tak doskonałemu popularyzatorowi, należy się za to prawdziwe uznanie.

J. M. Ch.

Józef Stanisław Pietrzak: **Wielki narodowy bohater, o. Marek Jandowicz, Karmelita, duchowy wódz Konfederacji Barskiej.** Wydanie drugie. Kraków, 1928. Str. 20. Cena 1 złp.

Józef Stanisław Pietrzak, będąc w posiadaniu nieznanych dokumentów o słynnym o. Marku Jandowiczu, opracował obszerniejszą pracę o tym Karmelicie trzewiczkowym, która podobno znajduje się obecnie pod prasą, przedtem jednak rezultaty swych badań podał w osobnej broszurce, prostującej niektóre nieścisłości historyczne. Przedewszystkiem autor na podstawie ścisłych badań ustalił prawdziwe brzmienie nazwiska świętobliwego zakonnika, jakie dotychczas podawano błędnie.

Opowiadając o życiu o. Marka, Pietrzak podkreśla jego patrjotyzm, a między innemi na str. 12 oraz na str. 13 przytacza jego modlitwę za Polskę. Krótka ta sylwetka skreślona jest z uczuciem, czyta się ją więc z zaciekawieniem, dzięki któremu zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie. Zewnętrznie wydawnictwo owe prezentuje się bez zarzutu: papier, okładka, ilustracja z portretem dobre, szkoda wszakże, iż cena jest trochę przywysoka.

Na okładce autor wymienia szereg prac „ogłoszonych drukiem i do druku przygotowanych", gdzie zapowiada ukazanie się rozprawy p. t. „Rycerskość polska a chamstwo dzisiejszych czasów".

J. M. Ch.

A. Weryha: **Walka z masonerją.** Warszawa, 1929. Str. 40.

Jako motto swej pracy, autor „Walki z masonerją" wziął słowa św. Joanny d'Arc: „Trzeba walczyć, by Bóg dał zwycięstwo". Wychodząc z tego założenia, rzuca on hasło walki z wolnomularstwem, przyczem ma ona być inna, niż dotychczas, inną zupełnie. Teraz „bronimy się—zauważa.— Ale na tem poprzestać nie możemy, zasadniczem prawem boju jest natarcie—atak. Nie możemy tkwić w Okopach św. Trójcy, musimy wyjść do walki, przejść do natarcia. Tylko w natarciu otrzymuje się zwycięstwo". Ta teza posłużyła za punkt wyjścia, kreśli więc autor plan, jak to natarcie zorganizować. Z tego względu „Walka z masonerją" śmiało nazwana być może przewodnikiem walki z masonerją, walki, która sprowadzić się nie da do czterech punktów: 1) chrześcijańskiej organizacji społeczeństwa celem koncentracji sił katolickich, 2) popierania działaczy katolickich wraz ze stabilizacją ich warunków bytu, 3) poznania wroga samemu oraz zaznajomienia z nim innych, 4) natarcia na ekspozytury masońskie i na jednostki, które należy usuwać z placówek społecznych oraz państwowych, jako indywidua szkodliwe. Tak się przedstawia schemat zmagań z polipem masońskim, według pomysłu tego publicysty, są to jednak środki czysto ludzkie, które same przez się zwycięstwa dać nie są w stanie. Walcząc z masoństwem, katolik powinien zwracać się o pomoc do Boga, powinien modlić się na tę intencję, to bowiem czynić nakazuje Ojciec św. Leon XIII w encyklice swej pt. „Humanus genus", mianowicie w jej zakończeniu.

Myśli, wyrażone przez publicystę, mimo pewnych niedociągnięć są trafne, plan przeprowadzony konsekwentnie, mający pozory możności zrealizowania go, wobec czego cała nasza inteligencja winna zapoznać się z nim oraz wziąć udział w jego realizacji. Uczynić to należy jaknajprędzej, bo zwłoka jest naszą klęską. Niechaj elita rozpocznie pracę naprawdę, a szersze sfery poprą ją natychmiast! Rozchodzi się jeno o to, ażeby zacząć, a po ruszeniu dzieło potoczy się łatwiej. Plan jest, obecnie wypada go wykonać, ale przy tem wszystkiem trzeba kierować się przedewszystkiem miłością chrześcijańską.

S. Z.

Z kraju i zagranicy.

Stolica Apostolska w obronie Chrześcijańskich Związków Zawodowych. Katolicki obóz francuski miał i ma wybitnych myślicieli i pisarzy, na polu jednak akcji społeczno - katolickiej i organizacji nowoczesnej szerokich mas stoi daleko w tyle poza innemi krajami.

Rezultatem takiego stanu rzeczy było zjawisko, iż politycznie próbuje go „urabiać" i reprezentować nacjonalizm typu „l'Action francaise", traktujący katolicyzm utylitarnie i wyzyskujący go tylko dla swoich celów politycznych; robotnik zaś francuski niemal całkowicie jest zorganizowany w t. zw. C.G.T. (Confederation General du Travaille) t. j. organizacji klasowej — socjalistycznej. Katolicy francuscy jeszcze do niedawna uważali, że kwestję społeczną należy rozwijać przez filantropję, a Boże broń nie organizować pracowników dla obrony ich interesów w związki zawodowe, bo to pachnie socjalizmem. Pogląd ten jednak próby życia nie wytrzymuje i budzi się przeciwko niemu reakcja we francuskim obozie katolickim. Oto niedawno wystąpił znany francuski działacz społeczny, ks. Thellier de Poncheville, zarzucając swoim rodakom katolickim obojętność w stosunku do kwestji społecznej, zwłaszcza do Chrześcijańskich Związków Zawodowych. Związki te we Francji muszą walczyć nietylko z nadużyciami kapitalizmu, lub z socjalizmem i komunizmem, ale także i z katolickiemi sferami posiadającemi o prawo do egzystencji. Te właśnie sfery wystąpiły ze skargą do Rzymu na Chrześcijańskie Związki Zawodowe. Mianowicie, pewna grupa przemysłowców katolickich z Roubaix Tourcoigne wysłała do Rzymu prośbę, w której skarżą się na rzekome tendencje marksistowskie i „socjalizm państwowy" chrześcijańskich związków zawodowych. Zresztą i nacjonaliści francuscy, pod których wpływami pozostają sfery posiadające katolickie, gromią na szpaltach „l'Action Francaise" chrześcijański ruch zawodowy, zarzucając mu tendencje socjalistyczne.

Cóż Stolica Apostolska odpowiedziała na te zarzuty?

W „Acta Apostolicae Sedis" opublikowany został ważny dokument Kongregacji Koncyljum w formie listu do biskupa Lienard z Lille.

Po drobiazgowej ankiecie kongregacja wyjaśniła, że powyższe zarzuty są zupełnie bezpodstawne. W tej opinji pontyfikalnej, ujętej w siedem artykułów, Kościół stwierdza swoją kompetencję w podobnych sprawach ze względu na moralną ich stronę i uznaje prawowitość, a nawet niezbędność stowarzyszeń syndykalnych. Syndykaty robotnicze, odrębne od syndykatów pracodawców, nie zagrażają pokojowi społecznemu. Przeciwnie, stwierdza Stol. Apostolska — należy popierać i otaczać opieką tego rodzaju syndykaty w których robotnicy chrześcijańscy mogliby naprawdę występować w obronie swych słusznych interesów ekonomicznych i doczesnych.

Dalej Kongregacja Koncyljum stwierdza, że z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej filantropijna działalność ludzka nie wystarcza. Jest rzeczą również konieczną, by poważanie, należne syndykatom chrześcijańskim, było jeżeli nie większe, to przynajmniej równe temu traktowaniu, jakie się stosuje do syndykatów religijnych i rewolucyjnych.

Wreszcie Stolica Apostolska zachęca duchowieństwo, aby się poświęciło sprawom chrześcijańskiego syndykalizmu.

Tak więc spór wyrosły na gruncie francuskim spowodował zasadnicze wyjaśnienie stosunku Stolicy Świętej, do chrześcijańskiego ruchu zawodowego wogóle.

Papież Pius XI staje obok Leona XIII jako opiekun i szczery przyjaciel mas pracujących, jako rzecznik ich potrzeb.

Ten głos Stolicy Piotrowej ma i dla naszych polskich stosunków olbrzymie znaczenie. Wskazuje on ruchowi chrześcijańsko - społecznemu w Polsce jego drogi i zadania, a zarazem pozwala na przyszłość zdecydowanie i mocno opierać się wszelkim zakusom, zmierzającym do złamania go, lub sprowadzenia na bezdroża. („Rzeczpospolita").